Jan Engelgard

Narodowa Demokracja

i okolice

Biblioteczka Myśli Polskiej

Jan Engelgard

Narodowa Demokracja

i okolice

Szkice i Recenzje

Biblioteczka
Myśli Polskiej

© Copyright by Jan Engelgard

ISBN 978-83-925284-0-1

Zdjęcie na okładce:
Manifestacja Narodowej Demokracji w Warszawie - 5 listopada 1905 r.
(ul. Nowy Świat)

Wydawnictwo Prasy Lokalnej, Warszawa 2007
Al. Jerozolimskie 83/9 02-001 Warszawa

Skład i łamanie:
Zbigniew Bielecki, www.bielecki.warszawa.pl

Druk:
„POLIGRAFIA" Sochaczew, tel. (046) 862 45 12

Sprzedaż:
Księgarnia Wysyłkowa Tygodnika „Myśl Polska"
Al. Jerozolimskie 83/9 02-001 Warszawa
e-mail: n.myslpolska@hoga.pl
tel./fax (0-22) 621-05-72

Wstęp

Fałszywa wizja historia rodzi złą politykę – tak mówi jedna z najbardziej znanych sentencji. Od kilkunastu lat mamy zupełną swobodę w pisaniu o historii naszej i obcej. Czy dobrze korzystamy z tego daru? Śmiem wątpić. Wolność głoszenia swoich opinii zaowocowała prawdziwym wysypem domorosłych historyków, często zwyczajnych mitomanów i hochsztaplerów. Papier zniesie wszystko, więc pisze się wszystko. Ilość wydawanych książek historycznych nie przechodzi bynajmniej w jakość, wręcz przeciwnie – poziom naszej samowiedzy historycznej uległ gwałtownemu obniżeniu. Kwitnie bezkrytyczny kult przegranych powstań, straconych szans, zwyczajnych szaleństw, jakich w naszej historii nie brakowało. Zwolennicy rozumu i rozwagi są piętnowani jako zdrajcy, ci zaś, którzy sprowadzali na naród polski klęski – trafiają na piedestał. Wręcz klinicznym przykładem takiego zabiegu jest - śmiem twierdzić - skandaliczna sakralizacja gen. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka", odpowiedzialnego za decyzję o wybuchu Powstania Warszawskiego. Po klęsce Powstania dowódcy AK chcieli postawić go przed sądem, a gen. Władysław Anders uznał decyzję o rozpoczęciu powstania za zbrodnię. Jednak dzisiaj to Okulicki przedstawiany jest jako wzór do naśladowania dla młodzieży! Nikt nie pamięta zaś o tych, którzy zachowali wtedy zimną krew.

Kult przegranych zrywów nie miałby aż takiego znaczenia, gdyby nie poparcie dla takiej wizji historii ze strony rządzących. Przyjęli oni za jedynie słuszną piłsudczykowsko-romantyczną wykładnię naszych dziejów. Słuszne uczczenie bohaterstwa powstańców warszawskich poprzez wzniesienie wspaniałego Muzeum Powstania Warszawskiego połączone zostało z bezkrytyczną oceną polityczną, pozbawioną jakiejkolwiek refleksji nad sensem tego zrywu. Z jednej strony piętnuje się np. gen. Zygmunta Berlinga i innych dowódców Frontu wschodniego za to, że szafowali życiem ludzkim, z drugiej zaś wychwala decyzję Komendy Głównej AK za to, że doprowadziła do zniszczenia stolicy

i śmierci co najmniej 150.000 ludzi, głównie cywilów. Takie są dziwne paradoksy naszego patrzenia na historię.

Obóz narodowo-demokratyczny od samego początku swojego istnienia zwracał uwagę na konieczność odpowiedzialnego patrzenia na historię. Historia jest częścią świadomości historycznej, jest także materiałem do krytycznej analizy. Błędy przodków powinny być pokazane i ocenione, tak by nie popełniać ich po raz kolejny. Narodowa Demokracja sprzeciwiała się politycznemu romantyzmowi zastępując go polityką odpowiedzialną, polityką realną. Roman Dmowski pisał, że losu narodu nie można poddawać regułom gry w pokera. Szalone decyzje podejmowali nieliczni, cierpiały tysiące. Jednocześnie Dmowski uważał, że naszym dziedzictwem jest cała historia, także ta obciążona błędami i zdradami, po prostu nie można wyrzec się żadnego fragmentu dziejów. Naród żył i żyje w różnych czasach, jest coś takiego jak ciągłość narodowej historii. Dzisiaj tymczasem wmawia się nam, że lata 1945-1989 to jakaś niebywała czarna dziura. Owszem, PRL nie było państwem suwerennym, ale jednak była państwem, w którym żyły, uczyły się, wychowywały co najmniej dwa pokolenia Polaków. Narodowe spojrzenie na historię tamtego okresu nie pozwala na przyjęcie obecnej czarnej wizji, gdyż w efekcie obraca się to przeciwko narodowi. Rozliczyć zbrodnie i przestępstwa – tak, ale nie kosztem niszczenia racjonalnej oceny i koniecznego w tym momencie dystansu.

W tym zbiorze moich tekstów zamieszczonych na łamach tygodnika „Myśl Polska" znajdzie Czytelnik szkice i recenzje poświęcone trzem głównym kwestiom – myśli politycznej i historii Narodowej Demokracji, problemowi rozliczania niemieckiej historii i narastającej za Odrą rewizji spojrzenia na III Rzeszę, wreszcie dziejom PRL widzianymi inaczej niż dzisiaj się przyjmuje.

Jan Engelgard
Warszawa, maj 2007

Część I – Narodowa Demokracja i okolice

Nie ma jednego nacjonalizmu

"Nacjonalizm jest zjawiskiem złożonym, a więc trudnym do zdefiniowania. Jako problem badawczy został wplątany w spory ideologiczne, których widownią był burzliwy wiek XX" – napisał **prof. Bogumił Grott** we wstępie do książki pt. "Nacjonalizm czy nacjonalizmy? Funkcja wartości chrześcijańskich, świeckich i neopogańskich w kształtowaniu idei nacjonalistycznych" (Kraków 2007). Prof. Grott od dłuższego czasu stara się "ucywilizować" dyskusję na temat nacjonalizmu, ma w tej kwestii spory dorobek, można nawet stwierdzić, że stworzył polską szkołę badań nad nacjonalizmem.

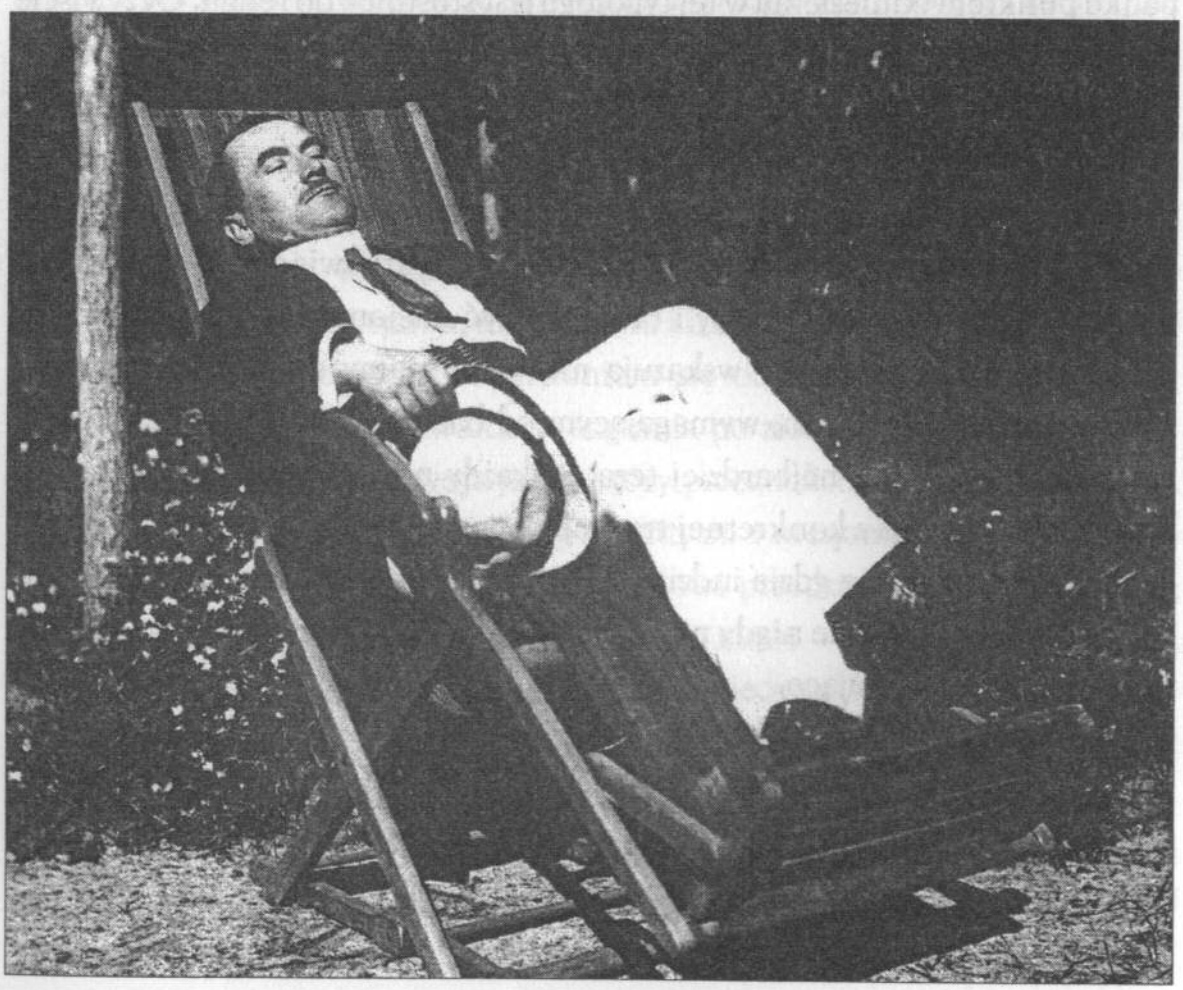

Jest to tym bardziej ważne, że po dziś dzień dominuje lewicowe spojrzenie na ten problem, co w praktyce oznacza, że wrzuca się do jednego "faszystowskiego" worka wszystkie nacjonalizmy. Tak więc "faszystą" jest nie tylko **Benito Mussolini**, ale i Hitler, Franco, Salazar, Pinochet, Dmowski, Horthy, Petain, Maurras czwy nawet George Bush. Ta wulgaryzacja dyskusje o nacjonalizmie jest naprawdę przerażająca, a ignorancja i prymitywizm ferujących wyroki obezwładniająca, i nie dotyczy to tylko polityków i dziennikarzy, ale i historyków.

Prof. Grott jest zwolennikiem tezy, iż w przypadku nacjonalizmu nie możemy mówić o jednym, obowiązującym modelu, lecz o różnych jego typach. Z grubsza wyróżnia trzy jego rodzaje – nacjonalizm świecki, nacjonalizm chrześcijański oraz nacjonalizm neopogański. Zauważmy, że w każdym przypadku punktem odniesienia w tej typologii jest stosunek do religii. Oczywiście można się zgodzić, że jest to bardzo ważny wyróżnik, lecz na pewno nie jedyny. Można np. podzielić nacjonalizmy wedle kryterium stosunku do gospodarki i wtedy będziemy mieli co najmniej dwa jego typy – wolnorynkowy i etatystyczny. Nacjonalizm może być też definiowany wedle stosunku do demokracji jako systemu sprawowania władzy, będzie więc nacjonalizm autorytarny czy nawet totalitarny i może też być nacjonalizm demokratyczny. Już chociażby te przykłady wskazują na to, że mamy do czynienia ze zjawiskiem bardzo złożonym, wymagającym od badaczy wnikliwości i precyzji. Uzasadniona jest jak najbardziej teza, że każdy nacjonalizm jest niepowtarzalny, gdyż wyrasta z konkretnej tradycji danego narodu i z tego względu ma cechy niepowtarzalne gdzie indziej. Mogą między nacjonalizmami występować duże zbieżności, ale nigdy nie znajdziemy dwóch takich samych, z reguły zaś różnice są decydujące.

Na treść omawianej książki składają się szkice kilkunastu historyków, w tym m.in. **Mieczysława Ryby, Rafała Łętochy, Olgierda Grotta, Jacka Bartyzela, Adama Wielomskiego, Wiktora Poliszczuka, Jarosława Tomasiewicza**. W przypadku polskiego nacjonalizmu najciekawszy jest problem jego związków z chrześcijaństwem. Jak wiadomo Narodowa

Demokracja narodziła się jako ruch świecki, inspirujący się pozytywizmem i scjentyzmem. Trójka twórców ideologii ND: **Roman Dmowski, Jan Ludwik Popławski i Zygmunt Balicki** stworzyła program nie odwołujący się wprost do nauki Kościoła, przy czym w przypadku Balickiego możemy nawet mówić o doktrynalnej świeckości. Kościół nie był wszakże traktowany jako coś obcego i nieważnego - uznano go za "instytucję narodową", ważną dla wychowania i utrzymania spoistości narodu. Nie była więc to ideologia wroga Kościołowi, nie było tu też cienia koncepcji neopogańskich, które zdominowały nacjonalizm niemiecki. Problem polegał na tym, że Balicki stworzył koncepcję tzw. etyki narodowej, autonomicznej w stosunku do etyki chrześcijańskiej. To wywołało protesty środowisk katolickich, które uznały, że jest to nie do przyjęcia. Warto jednak dodać, że od samego początku w kręgu oddziaływania ND byli liczni księżą, którzy nie widzieli przeszkód w angażowaniu się w prace stricte polityczną. Było to naturalne, gdyż koncepcje ideowe czołówki ND były skierowane raczej do elity narodu, a nie do szerokich kręgów społecznych.

Zresztą to samo zjawisko obserwowano w podejściu do romantyzmu i mesjanizmu. Jak wiadomo twórcy ND byli wręcz wrogo nastawieni do politycznego romantyzmu, mesjanizmu i insurekcjonizmu; tępili zjawisko irracjonalizmu owocującego oderwaniem się od realiów geopolitycznych, krzewili szkołę realizmu i twardego stąpania po ziemi. Tymczasem, jak wynika z badań **Andrzeja Dwojnycha**, który przeanalizował treści z pism endeckich na północnym Mazowszu, romantyzm i mesjanizm był tak mocno zakorzeniony na prowincji, że nawet czołowi przedstawiciele ND na tym terenie nie byli od niego wolni i – jak twierdzi autor – nie rozumieli Romana Dmowskiego. Dotyczy to nie okresu lat 30., kiedy młodzi wyraźnie przeszli na pozycje mesjanistyczne, ale także okresu przed 1918 rokiem, kiedy w ND dominowali "pozytywiści". W prowincjonalnych pismach endeckich szerzono kult powstań i wszelkie zjawiska tłumaczono interwencją Opatrzności. Ściśle też przestrzegano nauki Kościoła w takich kwestiach, jak troska o biednych czy wychowanie. Możemy więc stwierdzić, że ideologia ND i jej

szkoła polityczna była w pełni akceptowana tylko na szczytach elity władzy tego ugrupowania, im niżej tym powszechniej dominowało romantyczne i naiwne spojrzenie na patriotyzm. Dla sprawności i spoistości obozu narodowego nie niosło to wielkich zagrożeń, choć – jak wiemy – w latach 1907-1911 doszło do serii rozłamów na tle stosunku Dmowskiego do Rosji. Części narodowców nie mieściło się w głowie, że można być patriotą i uznać Rosję za chwilowego (a może i stałego) sprzymierzeńca. Rozłamy nie dotknęły jednak tzw. mas, lecz części elity i nie wpłynęły na osłabienie całego obozu. Tak czy inaczej, badania mentalności elit ND na prowincji są niezwykle interesujące i pozwalają na wyciągnięcie nowych wniosków. Jednym z nich byłoby stwierdzenie, że ideologia ND bardzo powierzchownie zakorzeniła się w tzw. masach, co np. zaowocowało w latach 30. i 40. zwycięstwem nurtu romantycznego i powstańczego. Np. zjawisko jakim były Narodowe Siły Zbrojne czy ONR jest tego dowodem, aczkolwiek ten problem wymagałby jeszcze dodatkowej analizy.

Jeśli chodzi o stosunek do chrześcijaństwa (katolicyzmu) czy szerzej do Kościoła, to już w latach 20. XX wieku nie ma sprzeczności między programem ND a Kościołem, następuje zjawisko zrastania się katolicyzmu i nacjonalizmu w jedną całość. W tym samym czasie rosną w siłę dwa wrogie Polsce nacjonalizmy – niemiecki i ukraiński – oba zdominowane przez skrajny darwinizm i neopogaństwo. W przypadku nacjonalizmu niemieckiego literatura ilustrująca to zjawisko jest ogromna. Nie możemy więc mówić o jakiś nowych ustaleniach poza potwierdzeniem wcześniejszych badań. Wynika z nich, że narodowy socjalizm był klasycznym wytworem niemieckiej ideologii neopogańskiej, nie mającej nic wspólnego z chrześcijaństwem. Prze cały XIX wiek budowano zręby tej pseudoideologii, w nauce, sztuce, muzyce, literaturze. Zdumiewające jak łatwo idee te przenikały do świadomości niemieckiej, nie napotykając żadnego oporu. Jedną z przyczyn była tu oczywista słabość katolicyzmu, ugodzonego śmiertelnie jeszcze w czasach reformacji, protestantyzm był z kolei skłonny do akceptowania neopogańskiej dewiacji. Znamienne, że narodowi socjaliści największe poparcie uzyskali w prote-

stanckich częściach Niemiec, a najmniejsze w katolickich. Ciekawostką jest to, że Adolf Hitler uznawał teorie volkistowskie i neopogańskie za totalną głupotę, mówiąc że po zwycięstwie chrześcijaństwa poganizm jest martwy i nie ma sensu go wskrzeszać. Nie przeszkadzało mu to jednak wykorzystywać instrumentalnie tego nurtu do panowania nad narodem niemieckim. Nie zapominajmy, że Hitler był Austriakiem i katolikiem, jednocześnie jednak człowiekiem całkowicie amoralnym.

W przypadku nacjonalizmu ukraińskiego mamy do czynienia z mieszanką szowinizmu, darwinizmu, praktycznego neopoganizmu ze wschodnim barbarzyństwem. Istotą tego nacjonalizmu była doktryna **Dmytro Doncowa** i będące jego kwintesencją tzw. dekalog nacjonalisty. Treść i znaczenie tego "dekalogu" omawia **Krzysztof Łada** zwracając uwagę, że był on bardzo długo podstawą "szkolenia" członków OUN i UPA. Obecnie historycy ukraińscy i część polskich całkowicie ignorują ten fakt, a np. Roman Drozd wręcz fałszuje jego treść. W wersji obecnie udostępnianej zmieniono niektóre kompromitujące sformułowania. Drozd w książce o UPA wydanej w 1998 roku "złagodził" siódme i ósme przykazanie "dekalogu", mówiące o konieczności stosowania prze Ukraińców fałszu, podstępu, podboju i zbrodni. Brzmiały one pierwotnie tak: "Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszego czynu, jeśli będzie tego wymagać dobro sprawy" oraz "Nienawiścią i bezwzględną walką będziesz przyjmować wrogów Twojego Narodu". Podczas szkoleń precyzowano o co chodzi: "Nóż i rewolwer, trucizna i podstęp – to rzeczy, jakimi nacjonalista w walce z silniejszym wrogiem może się posługiwać". Mocno akcentowany był wątek zemsty za całą historię Ukrainy począwszy od wieku XVI, a nawet wcześniej. Na liście tej na pierwszym miejscu byli Polacy. Wprost pisano, że Ukraina leży na obrzeżach cywilizacji Wschodu i Zachodu i dlatego musi walczyć: "Pomiędzy wilkami trzeba mieć wilcze zęby". W praktyce najlepiej owe wilcze zęby wbijano w gardła bezbronnych polskich dzieci, kobiet i starców. To zdumiewające, że ten zasadniczy dla zrozumienia zjawiska ukraińskiego nacjonalizmu aspekt jest pomijany prze historyków. To nie dziwi, że badacze o proweniencji ounowskiej starają się przedstawić go

jako "normalny", niepodległościowy a nawet "demokratyczny". W tym celu przemilcza się podstawowe fakty, fałszuje dokumenty i narzuca lukrowaną wizję historii. Wedle ustaleń Krzysztofa Łady "dekalog" w wersji "hard" był podstawą szkolenia członków OUN i UPA bardzo długo, nawet po wojnie. Tymczasem stara się nam wcisnąć teorię o "demokratyzacji" OUN począwszy od 1943 roku.

Nie piszę szerzej o kwestiach związanych z analizą nacjonalizmów krajów romańskich, gdyż na naszych łamach były prezentowane wyniki badań Adama Wielomskiego, który pisał o nacjonalizmie francuskim i hiszpańskim. W sumie, materiał zgromadzony w omawianej książce jest niezwykle interesującym wkładem w badania nad tym problemem. Jest to tym ważniejsze, że wciąż dominuje prymitywne i zwulgaryzowane przez myśl lewicową spojrzenie na nacjonalizm.

"Nacjonalizm czy nacjonalizmy? – funkcja wartości chrześcijańskich, świeckich i neopogańskich w kształtowaniu idei nacjonalistycznych" (pod redakcją Bgumiła Grotta)

Wyd. NOMOS, Kraków 2006 ss. 421
Myśl Polska Nr 12 (25.03.2007

Zygmunt Balicki - Ideolog kłopotliwy?

Jest zaliczany do grona trzech Ojców Narodowej Demokracji – obok **Romana Dmowskiego i Jana Ludwika Popławskiego**. Jednak w samym obozie narodowym budził, zwłaszcza po 1918 roku, ambiwalentne uczucia. Po zwrocie ku katolicyzmowi, czego ukoronowaniem była broszura Dmowskiego "Kościół, naród, państwo" (1927) Balicki wydawał się pewnym obciążeniem, był zbyt świecki i pozytywistyczny. Zwłaszcza jego książka "Egoizm narodowy wobec etyki" (1902) wydawała się wtedy niemal herezją, tym bardziej, że już

w momencie jej opublikowania została ona zaatakowana prze kręgi katolickie i kościelne.

Byłoby jednak błędem postrzeganie twórczości Balickiego tylko z tego punktu widzenia – powiedzmy sobie szczere, jego poglądy nie różniły się prawie wcale od poglądów innych działaczy ND w tym czasie. Tyle tylko, że Balicki wyartykułował je najbardziej dobitnie, a poza tym nie żył już od 1916 roku, nie miał więc możliwości ich weryfikacji bądź wytłumaczenia. Poza tym, przypisywanie mu czegoś na kształt neopoganizmu czy wrogości do nauki Kościoła jest grubą przesadą. Przekonuje o tym wydana właśnie książka **Anety Dawidowicz pt. "Zygmunt Balicki (1858-1916) – działacz i teoretyk polskiego nacjonalizmu".**

Droga życiowa Balickiego przypomina niemal do złudzenia drogi innych czołowych działaczy ND. Wychowanie w dobie popowstaniowej, w duchu pozytywizmu, fascynacji nauką zachodnią i socjalizmem. Droga do ND wiodła wielu twórców tego nurtu politycznego właśnie przez socjalizm, oczywiście inaczej pojmowany niż późniejszy tzw. naukowy czy komunistyczny. Dla młodych studentów polskich socjalizm był raczej uczuciem niż doktryną, postrzegano go jako drogę do narodowego wyzwolenia. Warto też pamiętać, że socjalizm ówczesny nie wydawał się sprzeczny z uczuciami narodowymi, w przypadku Balickiego były to także wpływy rosyjskiego narodnictwa.

Takim to "socjalistą" był np. **Stanisław Grabski** czy nawet Roman Dmowski. Nie należy jednak przesadzać z owym socjalizmem, o wiele większy wpływ na kształtowanie się mentalności młodych działaczy ND miała nauka zachodnia, w tym zwłaszcza socjologia francuska i angielska. Co ciekawe, dorobek nauki niemieckiej raczej odrzucano, nie wywarł on prawie żadnego wpływu na to pokolenie. **Bogumił Grott** jest skłonny nazywać nacjonalizm,

który stworzyli młodzi endecy mianem świeckiego, co chyba odpowiada prawdzie. Nie był to jednak, jak by chcieli inni, nacjonalizm antyreligijny czy antykościelny. Nikt nawet nie miał takich intencji – był to co najwyżej nacjonalizm areligijny, a wpływy nauki Kościoła czy filozofii chrześcijańskiej na ideologię ND były wtedy minimalne.

W tym miejscu powiedzmy kilka słów o samym terminie nacjonalizm. Większość twórców ND niechętnie posługiwało się tym terminem, a sam Dmowski wręcz go odrzucał woląc używać terminu "idea narodowa". Balicki natomiast nie miał takich oporów, gdyż patrzył na nacjonalizm bardziej przez pryzmat nauki zachodniej, gdzie termin ten nie ma negatywnej konotacji. Nigdy jednak nie traktował nacjonalizmu jako czegoś jasno zdefiniowanego, dostrzegał bowiem złożoność problemu. Widział dwa jego modele – państwowy i obywatelski, przy czym ten drugi był mu bliższy. Klasycznym nacjonalizmem państwowym był dla niego bismarckowski nacjonalizm niemiecki, Polska natomiast państwa nie miała i nacjonalizm musiał nam zastąpić państwo. Pisał: "Narody pozostawione wyłącznie własnym siłom, pozbawione wszelkiej organizacji państwowej, jeżeli chcą nie tylko przetrwać, ale rozwijać się, muszą wyłonić z siebie prąd nacjonalistyczny, któryby nie tylko rozwinął narodową myśl polityczną, lecz zastępował również w miarę możliwości brak organów, rozciągających gdzie indziej swą pieczę nad całością interesów i spraw narodowych". (artykuł "Nacjonalizm a patriotyzm", "Przegląd narodowy", nr 5/1912). To nie oznaczało oczywiście, że tak miało być na zawsze, państwo jest potrzebne narodowi i na dłuższą metę nie da się go niczym zastąpić. Balicki nigdy nie wątpił, że niepodległa Polska powstanie, wierzył w to bardzo głęboko, akceptując jednocześnie linię polityczną Romana Dmowskiego.

Interesujące były jego poglądy dotyczące różnicy między pojęciami patriotyzm i nacjonalizm. **Dla Balickiego patriotyzm jest "uczuciem zbiorowym i niczym tylko uczuciem". Patriotyzm jako uczucie jest ważny, ale sam, bez nacjonalizmu, jest bezużyteczny.** "Nacjonalizm bez podstaw mocnego patriotyzmu będzie zawsze formacją kaleką (...) Z drugiej strony patriotyzm

bez nacjonalizmu nie zdobędzie się nigdy na prawdziwą politykę narodową". Nacjonalizm jest więc formacją bardziej rozwiniętą niż patriotyzm. Nie jest jednak szowinizmem, które jest dla niego zwyrodnieniem. Co ciekawe, za szowinistów uznawał socjalistów, miał jednak chyba na myśli doktrynerstwo.

Socjalizm, tak samo jak liberalizm był dla niego największym wrogiem (mimo, że za młodu uznawał się za socjalistę). To co go odrzucało od tych dwóch prądów, to indywidualizm, kosmopolityzm, brak poszanowania dla tradycji i tendencja do destrukcji. Naród był dla niego organizmem i wszelkie czynniki niszczące ten organizm były dla niego zagrożeniem. Wiąże się to z wyznawanym przez Balickiego konserwatyzmem, ale nie w rozumieniu kierunku politycznego wtedy funkcjonującego. Rozumiał go jako przywiązanie do tradycji i historii, nie widząc w nim przeszkody w budowaniu nowoczesności. Przywiązywał też wielką wagę do rozwoju samorządności, piętnując nadmierny biurokratyzm państwa. Demokracja w jego rozumieniu nie była, tak jak dzisiaj, systemem ideowo-politycznym, lecz budową społeczeństwa od dołu (to nieszczęśliwie nazywa się obecnie "społeczeństwem obywatelskim" w oderwaniu od pojęcia narodu), sam system ustrojowy wyobrażał sobie raczej jako bardziej autorytarny niż parlamentarny.

W tej kwestii nie sprecyzował jednak jasnych koncepcji, bo nie było to w okresie braku niepodległego państwa priorytetowe. Warto jednak zauważyć, że nie traktował niepodległości państwowej jako absolutu, uważając że można przejściowo zbudować niepodległość wewnętrzną. I miał rację – można sobie bowiem wyobrazić państwo, które niszczy niepodległość wewnętrzną swoich obywateli. Widać wyraźnie negatywne odniesienie się Balickiego do modelu bismarckowskiego państwa niemieckiego. Tak pojęty demokratyzm oraz niechęć do omnipotencji państwa sytuuje Balickiego w bliżej obozu antyetatystycznego i "liberalnego". Wydaje się, że twórczo kontynuował jego myśl **prof. Roman Rybarski**, choć ten z kolei bardziej przekonany do wolnej gospodarki niż sam Balicki.

Jak pisze autorka biografii, Balicki stworzył szereg pojęć ideologicznych,

które stały się podstawą myśli politycznej ND. I nawet jeśli potem publicznie odżegnywano się od niego, to tak naprawdę uznawano jego dorobek, ubierając nieraz w inne pojęcia lub unikając akcentowania innych (egoizm narodowy). Ale zasadnicze były obecne – antyindywidualizm, antyliberalizm, antygermanizm, antyparlamentaryzm, wychowanie narodowe, państwo narodowe. Balicki świetnie uzupełniał się z Dmowskim, którego linii politycznej nigdy nie podważał, nawet w okresach kryzysu. Był np. gorąco przekonany, że orientacja na Rosję jest słuszna. Niektórzy nawet szydzili, że Balicki jest adiutantem Dmowskiego, co było nieprawdą – adiutant to ktoś wierny, ale niekoniecznie myślący. Balicki był równy umysłowością Dmowskiemu, nie był typem potakiewicza, był za to przekonany o słuszności sprawy, której służył.

Jako człowiek fascynował otoczenie, przyciągał ludzi, to on "zwerbował" na przełomie wieków najbardziej głośne nazwiska w orbitę polityki Ligi Narodowej. Świetny mówca (trudniej szło mu pisanie), doskonale wykształcony, poliglota, koneser sztuki, zacięty sportowiec (był członkiem "Sokoła') – nie pasuje do stereotypu "endeka" lansowanego przez lewicę. W życiu prywatnym przeżył zawód, poświęcał się idei i polityce, miał wielkie talenty organizacyjne, jego mieszkanie w Krakowie było przez długi czas centrum organizacyjnym Ligi Narodowej nie tylko w Galicji. Zarzucano mu potem, że otarł się o masonerię, ale autorka jednoznacznie twierdzi, że to nieporozumienie – będąc w Szwajcarii (lat 80. XIX wieku) musiał mieć obywatelstwo szwajcarskie chcąc odbyć studia i stanąć na nogach – akces do masonerii był tego warunkiem. Nigdy jednak Balicki masonem "ideowym" nie był, skończyło się tylko na formalnym akcie. Pamiętać też trzeba, że w młodości Balicki nie był jeszcze uformowanym narodowcem, pewne rzeczy były mu nieznane lub nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia. Przy jakichkolwiek ocenach nie można stosować tak dzisiaj nachalnego prezentyzmu, czyli ferowania wyroków wedle teraźniejszych poglądów i wiedzy. Historia wtedy nie ma sensu. Poza tym, ci w obozie narodowym, którzy krzywili się na Balickiego nie dorastali mu intelektualnie do pięt. Odrzucanie tego typu

ludzi osłabiało cały obóz, prowadząc do dominacji osobowości miernych, krzykliwych i dogmatycznych.

Aneta Dawidowicz, **"Zygmunt Balicki** (1858-1916) – działacz i teoretyk polskiego nacjonalizmu", Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 2006, ss. 302
Myśl Polska Nr 14-15 (8-15.04.2007)

Czechosłowacja w myśli politycznej Narodowej Demokracji

Problem Czech, w mniejszym stopniu Słowacji – pojawił się w polskiej myśli politycznej bardzo późno, bo w zasadzie dopiero na początku XX wieku. Przez cały wiek XIX polskie myślenie polityczne było skierowane albo na insurekcje przeciwko Rosji, albo na ugodę w wydaniu konserwatywnym lub pozytywistycznym. W tym pierwszym przypadku miejsca na Czechów nie było. W drugim także, choć w Austro-Węgrzech Polacy angażujący się w życie polityczne tego państwa stykali się z Czechami. Miało to jednak wymiar lokalny. Dopiero pojawienie się

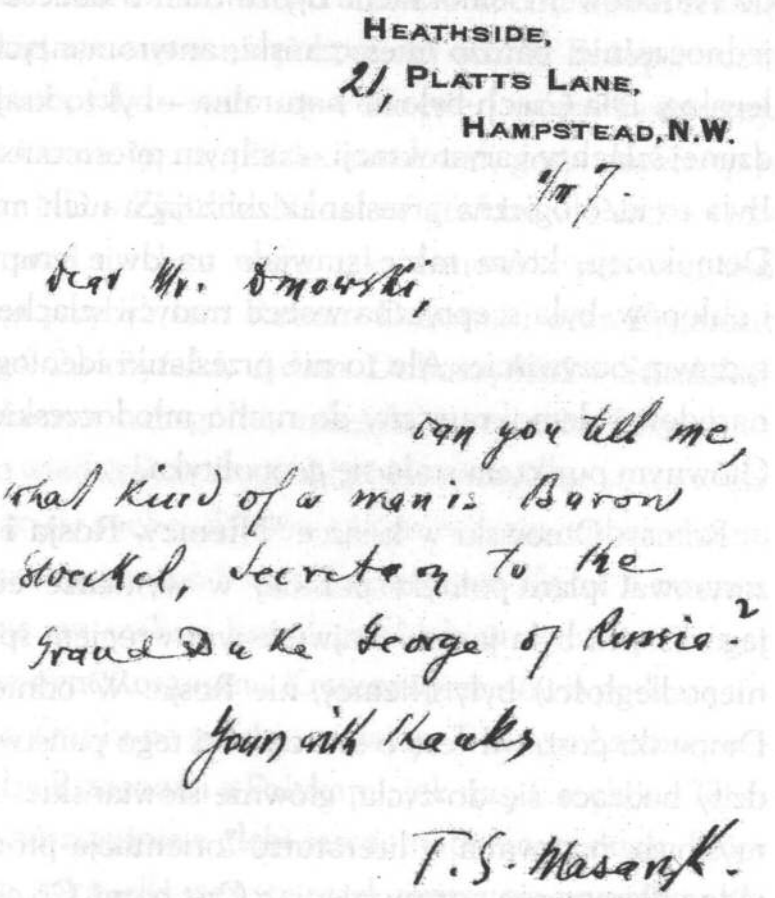
HEATHSIDE,
21, PLATTS LANE,
HAMPSTEAD, N.W.
4/11 7.

Dear Mr. Dmowski,

can you tell me, what kind of a man is Baron Stockel, secretary to the Grand Duke George of Russia?

Yours sincerely

T. G. Masaryk.

na scenie politycznej obozu narodowo-demokratycznego zmieniło tę sytuację. Politykiem, który przywrócił kwestię czeską do naszego myślenia był **Roman Dmowski (1864-1939)**.

Model patriotyzmu lansowany przez ideologów obozu narodowo-demokratycznego odbiegał znacznie od wzorców obowiązujących w wieku XIX. Antyromantyzm i antyinsurekcjonizm tak ostro zarysowany w kluczowym dziele Romana Dmowskiego **"Myśli nowoczesnego Polaka" (1903)** sprawił, że Narodowa Demokracja opowiedziała się za modelem patriotyzmu mieszczańskiego. Z tego też powodu tak szybko jej program i ideologia znalazły odzew w Wielkopolsce. "Model wielkopolski" był zaś bardzo zbliżony do wzorca czeskiego. W Czechach od połowy XIX wieku narastał silny nurt odrodzenia narodowego, w II połowie stulecia na arenę polityczną wkroczyli tzw. młodoczesi, nowoczesny ruch ideologicznie bardzo zbliżony do Narodowej Demokracji. Był to ruch o obliczu narodowym i liberalnym jednocześnie, bardzo mieszczański, antyromantyczny, nastawiony na pracę legalną. Dla Czech było to naturalne – był to kraj de facto pozbawiony rodzimej szlachty i arystokracji – z silnym mieszczaństwem i ludnością wiejską. Była to ideologiczna przesłanka zbliżająca ruch młodoczeski do Narodowej Demokracji, która także stawiała na dwie grupy społeczne – mieszczan i chłopów, była sceptyczna wobec tradycji szlacheckiej, w rozumieniu politycznym oczywiście. Ale to nie przesłanki ideologiczne zbliżyły polski ruch narodowo-demokratyczny do ruchu młodoczeskiego w sposób decydujący. Głównym punktem stała się geopolityka.

Roman Dmowski w książce **"Niemcy, Rosja i kwestia polska" (1907)** zarysował plan polityki polskiej w wymiarze europejskim. Teza główna jego książki była jasna - największym wrogiem sprawy polskiej (w domyśle niepodległości) były Niemcy, nie Rosja. W odniesieniu do Austro-Węgier Dmowski postawił tezę o sztuczności tego państwa, w skład którego wchodziły budzące się do życia, głównie słowiańskie, narody. Taka konstrukcja myślowa, nazywana w literaturze "orientacją prorosyjską" stwarzała jeszcze jedną płaszczyznę porozumienia z Czechami. Co ciekawe, wbrew tradycji ro-

mantycznej Dmowski nie upatrywał w Węgrach sojusznika sprawy polskiej. Z prostego powodu – Węgrzy prowadzili politykę antysłowiańską i progermańską. W ewentualnym starciu wojennym byli naturalnymi sojusznikami bloku niemieckiego, a nie Rosji czy państw zachodnich. Dla Dmowskiego ważne było to, że ruch młodoczeski rozwijał swoją działalność w opozycji do niemczyzny – najpierw dotyczyło to tylko spraw wewnętrznych (języka, gospodarki, kultury), ale wobec zbliżającej się wojny Czesi zmuszeni byli do wyboru geopolitycznego. Rosja stała się dla nich jednym z partnerów, tak jak dla Narodowej Demokracji.

Pierwszą wspólną akcją Narodowej Demokracji i Czechów był tzw. ruch neosłowiański. Narodowa Demokracja zaangażowała się w tę inicjatywę, za którą stali głównie Czesi – z pobudek czysto geopolitycznych. Ruch neosłowiański szukał głównego sprzymierzeńca w Rosji, za wroga uznawał Niemcy i szeroko pojęty germanizm. Dla Dmowskiego udział w ruchu dawał szansę postawienia sprawy polskiej na nowo na politycznej scenie Europy, oczywiście nie w takim wymiarze, jak to stało się w okresie I wojny światowej. Chodziło o postulaty autonomii (język polski, samorząd, gospodarka itp.). Udział czołowych działaczy ND w **Zjeździe Neosłowiańskim w Pradze (12-18 lipca 1908 r.)** wskazywał na dużą wagę, jaką Dmowski przywiązywał do tej inicjatywy. Do Pragi przybyli sam **Roman Dmowski oraz Zygmunt Balicki, Jan Stecki, Józef Świeżyński, Adam Doboszyński i Stanisław Grabski**. Czeskim gospodarzom szczególnie zależało na tym, by Polacy pojednali się z Rosjanami, bo wiedzieli, że stosunki polsko-rosyjskie są największym problem dla rodzącego się ruchu. Dlatego swego rodzaju ambasadorem sprawy polskiej stała się czołowa postać tego Zjazdu, czyli **Karel Kramarz**. Przez następne lata będzie on usilnie bronił polskich postulatów, nawet wbrew niechętnie nastawionym Rosjanom. Kramarz przemówił podczas inauguracyjnego posiedzenia Zjazdu po polsku, mówiąc: "Nikogo bardziej nie bolały różnice i spory między Rosjanami a Polakami, jak nas, Czechów. Teraz życzymy wam i całej Słowiańszczyźnie z głębi serca, ażeby nowy duch, który objął całą Słowiańszczyznę, także dla was stworzył gwarancję potrzebną dla

waszego wolnego, narodowego i kulturalnego rozwoju".

Dla Romana Dmowskiego i ND poparcie Czechów było bardzo ważne, otwierało też nowy rozdział między naszymi narodami, które żyły obok siebie, a tak były od siebie odległe. Zjazd w Pradze zapoczątkował całą lawinę spotkań i inicjatyw polsko-czeskich, wśród których na porządku dziennym były odczyty na temat historii i kultury, wycieczki Polaków do Pragi i Czechów do Krakowa. W Krakowie zaczął ukazywać się redagowany przez **Feliksa Koneczn**ego "Świat Słowiański", lansujący zbliżenie polsko-czeskie. Dla ND ważniejsze było jednak wsparcie czeskie na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w relacjach z Rosjanami. Kramarz został prezesem Komitetu Wykonawczego Zjazdu Słowiańskiego, co dawało mu pozycję szczególną. Już podczas konfliktu wokół sprawy Chełmszczyzny stanął on po stronie polskiej. Nasilające się konflikty polsko-rosyjskie, prowokowane przez rosyjskie kręgi konserwatywne i nacjonalistyczne, powoli rozsadzały ruch neosłowiański, ale Kramarz do końca próbował ratować sytuację. Podczas posiedzenia **Komitetu Wykonawczego w Petersburgu (12-15 lutego 1910 roku)** Polacy ostro zaprotestowali przeciwko polityce oficjalnej Rosji wobec Polski, po czym ogłosili wystąpienie z Komitetu. Charakterystyczna była reakcja na ten fakt Kramarza: "Gdyby jakiś tajny wszechniemiec bałtycki kierował polityką rosyjską, nie mógłby postępować bardziej antysłowiańsko". Rosyjscy nacjonaliści oskarżyli Kramarza o "stronniczą propolską postawę". Czesi nie poszli na ratowanie ruchu za wszelką cenę, uznając z czasem, że bez Polaków nie ma on sensu.

Ten ważny epizod w historii stosunków czesko-polskich miał potem wielorakie konsekwencje. Nawet jeśli uznamy, że ruch neosłowiański nie odegrał takiej roli, jaką zakładali jego twórcy, to dla Narodowej Demokracji najważniejsze było nawiązanie licznych kontakt ów z politykami czeskimi. I nie chodzi tu tylko o Karela Kramarza, ale przede wszystkim o **Tomasza G. Masaryka**, czołową postać czeskiej polityki. Masaryk podchodził do kwestii neosłowiańskiej podobnie jak Dmowski – nie wierzył w ideologiczne zaklęcia, zależało mu jedynie na prowadzeniu czeskiej polityki narodowej. To

zresztą zbliżało go do Dmowskiego. Lider ND już w czasie wojny zwierzył się bliskiemu współpracownikowi Masaryka, młodemu wówczas **Edwardowi Beneszowi**: "Czy pan myśli, że ja jechałem do Pragi robić słowiańską politykę dla dobra Słowian? Jechałem robić tam politykę polską i patrzeć, co się przy okazji da zrobić dla Polaków. To była moja słowiańska polityka". Takie pojmowanie interesu narodowego było bardzo bliskie duetowi Masaryk-Benesz. Zresztą już wkrótce wszyscy mieli spotkać się na salonach dyplomatycznych całej Europy.

Z chwilą podniesienia sprawy polskiej na forum europejskim, co stało się w latach 1914-1917, lider ND rozwinął energiczną akcję dyplomatyczną na rzecz niepodległości Polski. Jednak Dmowski miał szerszą wizję – nakreślił mapę przyszłej Europy, czyniąc z Czech (Czechosłowacji) jedno z fundamentalnych ogniw nowej Europy. Podstawowym dokumentem jest napisany w Londynie w lipcu 1917 roku memoriał pt. **"Problems of Central and Eastern Europe"**. Kreśląc wizję przyszłej Europy, Dmowski tak widział rolę przyszłego państwa czeskiego (czechosłowackiego): "Czechy składałyby się z obecnego Królestwa Czeskiego, z Moraw, z części Śląska austriackiego (Opawskie), a także północnej części Węgier (Słowacczyzna). Ludność tego obszaru, zgodnie z danymi statystyki przedwojennej, wynosiłaby dwanaście do trzynastu milionów, w czym znaczna większość czeska. Ta byłaby wzmocniona przez ludność słowacką obecnych Węgier północnych. Chociaż Słowacy właściwie stanowią oddzielną drobną narodowość i chociaż w przeszłości należeli do Królestwa Węgierskiego i nie mieli związku z Czechami, liczebnie są oni za słabi, ażeby mogli stanowić oddzielną jednostkę (...) Słabym punktem państwa czeskiego będzie istnienie silnej ludności niemieckiej w pasie północnym Czech wzdłuż granicy niemieckiej. Ten pas niemiecki, jakkolwiek przylegający do obszaru narodowego niemieckiego, nie może być żadną miarą (z wyjątkiem powiatów) wcielony do Niemiec, gdyż to pozbawiłoby Czechy ich naturalnej granicy geograficznej, ciągnącej się wzdłuż pasma górskiego. Innym słabym punktem, jakkolwiek mniejszej wagi, będzie istnienie tradycyjnych wpływów madziarskich na Słowacczyźnie. Jednakże

Czesi należą do najenergiczniejszych i najlepiej zorganizowanych ludów Europy, toteż nie ma wątpliwości, że gdy raz się staną panami swego kraju, będą zdolni zbudować silne państwo narodowe, odporne na wszelkie wpływy zewnętrzne".

Dmowski widział w Czechach przyszłego sojusznika Polski, gdyż nie zakładał, by po wojnie niebezpieczeństwo niemieckie zostało raz na zawsze zażegnane. To między innymi sprawiało, że wyrzekał się w swojej koncepcji geopolitycznej tradycyjnej sympatii polskiej do Węgrów, a rolę Słowaków widział tylko i wyłącznie w ramach zdominowanego przez Czechów państwa. Była to wizja całkowicie sprzeczna z tym, co głosili wtedy i potem piłsudczycy. Zarówno sam **Józef Piłsudski**, jak i jego zwolennicy nie uwzględniali Czechów w swoich koncepcjach w ogóle. Nie wyobrażali sobie nawet powstania niepodległego państwa czeskiego, a po 1918 roku, kiedy już powstało – uznawali je za sztuczny twór. Nigdy też nie wyzbyli się nastawienia prowęgierskiego. Dmowski widział sprawy o wiele szerzej – uznawał istnienie silnego państwa czeskiego za konieczność dziejową, co było zgodne z polską racją stanu. W cytowanym już memoriale pisał: "Niezawisłość Czech jest koniecznością, jakkolwiek – otoczeni z północy i zachodu przez Niemców, z południa zaś przez Madziarów – zajmują Czesi geograficznie niesłychanie zagrożoną pozycję. Wydać Czechów w ręce ich wrogów znaczyłoby nie tylko skrzywdzić dzielny i postępujący naród; oczyściłoby to z głównej przeszkody niemiecką drogę ku Bliskiemu Wschodowi. Niebezpieczeństwo związane z położeniem geograficznym Czech będzie znacznie osłabione przez odbudowanie państwa polskiego, zwłaszcza że Polska odzyska swą granicę narodową od strony niemieckiej i przez posiadanie Śląska zbliży się do Czech, z którymi wtedy będzie miała długą linię wspólnej granicy – cenny warunek przeciwstawienia się niemieckiej polityce podboju".

Dalej Dmowski optymistycznie zakładał: "Pomiędzy Polakami i Czechami nie ma poważnych antagonizmów. Od początku XIX stulecia zaznacza się między dwoma narodami wyraźne dążenie do przyjaźni, które można przy-

pisać pokrewieństwu rasowemu, wspólnym źródłom cywilizacji - zarówno Polacy, jak i Czesi są Słowianami kultury zachodniej - a nade wszystko niebezpieczeństwu niemieckiemu, które grozi obu narodom. Kraje te ponadto mają wspólne interesy ekonomiczne, jak polityczne, a polski port w Gdańsku służyłby także Czechom jako wyjście na morze". Trudno o bardziej wyraźny sygnał w kierunku czeskiego partnera, niż ten przytoczony w tym fragmencie. Analiza geopolityczna Dmowskiego do złudzenia zbieżna jest z tym, co napisał rok później Tomasz Masaryk w książce "Nowa Europa" (1918). W odniesieniu do kwestii niemieckiej obaj politycy byli jednomyślni, jednak już w przypadku określenia roli Polski Masaryk był znacznie mniej wylewny niż Dmowski – nie widział Polski w gronie najbliższych sojuszników – czeski polityk, podobnie jak i inni – obawiał się konfliktu polsko-rosyjskiego, wobec którego Czesi wcale nie mieli ochoty opowiadać się po stronie polskiej.

Budowa dwóch niepodległych państw sprawiła, że bardzo szybko na pierwszy plan wypłynęły kwestie sporne – czyli kształt granicy, w tym szczególnie na obszarze Śląska Cieszyńskiego. Dmowski z żalem konstatował, że "brak poważnych antagonizmów", o czym pisał w 1917 roku, wcale nie oznacza, że tak łatwo będzie można je przezwyciężyć. Jako obrońca polskiego interesu musiał przeciwstawić się Czechom, wiedząc jednocześnie, że cała awantura jest w punktu widzenia strategii geopolitycznej bezsensowna. Masaryk i Benesz, jego polityczni sojusznicy, stali się nagle rywalami. Bardzo charakterystyczna jest wypowiedź Dmowskiego podczas posiedzenia Rady Najwyższej Konferencji Pokojowej w Paryżu w dniu 5 września 1919 roku: "Jestem pobity. Napracowaliśmy się z Beneszem i Masarykiem tyle lat przed wojną i w czasie wojny, aby utrwalić sojusz polsko-czeski, teraz przychodzimy tutaj jako dwie strony sporne". Było to szczególnie bolesne, gdyż Masaryk jeszcze podczas wojny obiecywał Polakom, że nigdy nie dopuści do polsko-czeskiego konfliktu o Śląsk Cieszyński. Konflikt o granice, a potem zachowanie się Czechosłowacji podczas wojny 1920 roku – wykopało pomiędzy obu państwami głębokie rowy. W latach późniejszych, do czasu przewrotu majowe-

go – kolejne polskie rządy, w których Narodowa Demokracja miała udział, starały się doprowadzić stosunki polsko-czechosłowackie do normalizacji. Udało się to tylko częściowo. Po 1926 roku było już tylko źle.

Dramatycznym epilogiem w historii obu państw był kryzys roku 1938, kiedy to rządzona przez sanację Polska wzięła udział w rozbiorze Czechosłowacji. Obóz narodowy (wówczas w formie Stronnictwa Narodowego) nie zajął jednoznacznego stanowiska, Roman Dmowski był już wówczas śmiertelnie chory. Jednak warto przypomnieć stanowisko poważnego odłamu SN skupionego wokół **Jędrzeja Giertycha**, uchodzącego za bliskiego współpracownika Dmowskiego. Pisze na ten temat Karol Wojciechowski: "Dostrzegając zagrożenie niemieckie, grupa polityków SN z Jędrzejem Giertychem na czele, uważała, że Czechom należy podać pomocną dłoń i nie dopuścić do tego, żeby Polska wspólnie z Hitlerem dokonała rozbioru państwa czeskiego. Podkreślali, że zniszczenie układu wersalskiego, czym była przecież aneksja Austrii i Czechosłowacji, jest dla Polski ogromnym zagrożeniem. Do tej grupy polityków należeli: **Jędrzej Giertych, Kazimierz Kowalski, prezes SN, prof. Karol Stojanowski i Jan Matłachowski**. Kierownikiem grupy został Jędrzej Giertych, który już w pierwszej połowie 1938 roku w książce "O wyjście z kryzysu" pisał: "Bastion geograficzny Czech bardzo znacznie wzmacnia naszą pozycję geograficzną od strony Niemiec [...] i [...] zniknięcie, lub osłabienie tego bastionu [...] postawiłoby nas oko w oko z potężnym blokiem geograficznym niemieckim, który przytłaczałby nas w sposób groźny".

Problem błędnej polityki Polski wobec Czechosłowacji zaczął dręczyć Jędrzeja Giertycha późną jesienią 1937 roku wraz z ukazaniem się książki Adolfa Bocheńskiego pt. "Między Niemcami a Rosją". Książka zawierała rewizję układu terytorialnego i politycznego Europy, m.in. poprzez rozbiór Czechosłowacji. W związku z tą publikacją Jędrzej Giertych poprosił Romana Dmowskiego o rozmowę, która odbyła się nieco później w taksówce w czasie przejażdżki wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego nad brzegiem Wisły, daleko poza Warszawę. Rozmowa tyczyła się wyłącznie książki Bocheńskiego. Dmowski uznał, że program Bocheńskiego był w wysokim stopniu dla Polski niebez-

pieczny. Zlecił więc Giertychowi czuwanie nad tą sprawą. Przedsięwzięcie Jędrzeja Giertycha uzyskało w ten sposób aprobatę samego Dmowskiego. W trakcie wspomnianej rozmowy Dmowski stwierdził, że "musimy troszczyć się, by granica czesko-niemiecka nie była naruszona tak samo, jak troszczymy się o to, by nie była naruszona granica niemiecko-polska". Jędrzej Giertych chciał wywołać szereg manifestacji narodowych z zamiarem uniemożliwienia rządowi prowadzenia polityki polegającej na współpracy z Niemcami przeciw Czechom i poinformowanie rządu oraz narodu czeskiego, że w konflikcie z Niemcami sympatie Polaków są po czeskiej stronie. Hasłem manifestacji miało być przekonanie, że "naród polski solidaryzuje się z narodem czeskim w jego trudnym położeniu". Manifestacje planowano we wszystkich większych miastach Polski o tej samej porze wraz ze zbieraniem podpisów od osób gotowych do udania się, w razie potrzeby, do Czechosłowacji i wstąpienia tam do polskiego legionu. "Zaciąg do legionu ochotniczego – pisał Giertych – pomyślany był tylko jako demonstracja gotowości walki zbrojnej w obronie Czechosłowacji". Przemawiając podczas posiedzenia kierownictwa SN w Warszawie, Giertych stwierdził: "W tej chwili, rozstrzygają się losy Polski, a nawet losy świata. Jeśli zdecydujemy się być bierni, sanacja pójdzie z Hitlerem przeciwko Czechosłowacji, a to przyniesie konsekwencje straszliwe. Jeśli zdecydujemy się działać - to zmienimy bieg historii i uratujemy Polskę".

Głos ten, chociaż donośny – niczego nie zmienił. Tylko wśród polityków obozu narodowego i ludowego istniała wtedy świadomość grozy sytuacji. Dramatem było to, że oba państwa zakończyły swój żywot osobno, nie pomagając sobie nawzajem. Wielka wizja Romana Dmowskiego, strategicznego sojuszu Polaków i Czechów – pozostała tylko wizją. Jednak wkład Dmowskiego i Narodowej Demokracji w rozwój polskiej myśli politycznej w odniesieniu do południowego sąsiada – jest trwałym osiągnięciem.

Jest to referat wygłoszony podczas międzynarodowej konferencji poświęconej stosunkom polsko-czechosłowackim. Organizatorem konferencji było Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego

Literatura:
"Wybór pism Romana Dmowskiego", t. I-IV, Nowy Jork (Instytut Romana Dmowskiego) 1988
Roman Dmowski, **"Niemcy, Rosja i kwestia polska"**, Warszawa 1991
Roman Dmowski, **"Polityka polska i odbudowanie państwa"**, t. I-II, Warszawa 1988
Roman Dmowski, **"Zagadnienia środkowo i wschodnioeuropejskie"** w: "Polityka polska i odbudowanie państwa", Warszawa 1988
Mariusz Kułakowski, **"Roman Dmowski w świetle listów i wspomnień"**, Londyn 1972
Krzysztof Kawalec, **"Roman Dmowski 1864-1939"**, Wrocław 2002
Stanisław Grabski, **"Pamiętniki"**, t. I-II, Warszawa 1989
Antoni Giza, **"Neoslawizm i Polacy 1906-1910"**, Szczecin 1984
Jarosław Kilias, **"Naród a idea narodowa. Nacjonalizm T. G. Masaryka"**, Warszawa 1998
Tomasz G. Masaryk, **"Nova Evropa"**, Brno 1994
Karol Wojciechowski, **"Jędrzej Giertych i Czechosłowacja"**, **"Myśl Polska"**, nr 14/2003

Zniszczony za życia

Gen. Tadeusz Rozwadowski (1866-1928) był bez wątpienia jednym z najwybitniejszych polskich wojskowych XX wieku. Jego pech polegał na tym, że po 1918 roku do roli głównego wojskowego II RP pretendował Józef Piłsudski. Wojsko stanowiło oczko w głowie Piłsudskiego, dlatego nie zwykł on tolerować nikogo, kto byłby dla niego zagrożeniem. Tak było też z Rozwadowskim – wszedł w drogę Piłsudskiemu i musiał być wyeliminowany. Ta eliminacja odby-

ła się w sposób tak brutalny, by nie powiedzieć chamski, że po dziś wywołuje poczucie zażenowania i wstydu. To dziwne, ale dopiero teraz Rozwadowski doczekał się naukowej, pełnej biografii. To znakomita, kompetentna książka, mająca także walory czysto czytelnicze. Mariusz Patelski kreśli losy generała na tle burzliwych wydarzeń początku XX wieku. Wyłania się obraz postaci w sumie tragicznej, niezasłużenie poniewieranej. Rozwadowski, ze swoim patriotyzmem i temperamentem, miał zawsze duże kłopoty. Dowództwo armii austriackiej robiło wszystko, by się go pozbyć, bo podczas I wojny światowej nieugięcie walczył z nim w obronie wykorzystywanej i prześladowanej polskiej ludności. Tę walkę przegrał i musiał odejść z wojska. Potem zaczął się jego pojedynek z Piłsudskim. Początkowo nie miał on charakteru walki na śmierć i życie – Rozwadowski potrafił bowiem znosić szykany (np. zdjęcie go w 1919 roku ze stanowiska dowódcy Armii "Wschód" walczącej o odblokowanie oblężonego Lwowa). W lecie 1920 roku Rozwadowski odegrał kluczową rolę w organizacji polskiego zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej, co autor książki potwierdza w całej rozciągłości. Mimo to pozostał skromny, nie ujawniał swojej wiedzy na ten temat. To zresztą była przyczyna jego późniejszej klęski – Józef Piłsudski nie potrafił znieść, że obok żyje ktoś, kto jak nikt inny, zna prawdę o tamtych dniach. Jest pewne, że bezpośrednią przyczyną aresztowania Rozwadowskiego w maju 1926 roku, więzienia go w Wilnie, a także brudnej nagonki prasy piłsudczykowskiej przeciwko niemu – był fakt ujawnienia przez niego prawdy o Bitwie Warszawskiej. Mit zwycięskiego Wodza z roku 1920 był kamieniem węgielnym legendy Piłsudskiego. Rozwadowski stanął na drodze tej legendy – i poniósł za to straszliwą karę. Patelski nie wyklucza, że Rozwadowski mógł zostać otruty przez nadgorliwych wielbicieli Piłsudskiego, co – biorąc pod uwagę ściśle naukowy charakter jego dzieła – zasługuje na podkreślenie.

Tadeusz Rozwadowski był oddany Polsce przez całe życie. Nie lubił polityki, choć prawie zawsze o nią się ocierał. W Polsce Niepodległej nienawidziła go lewica, widząc w nim uosobienie "reakcyjności". Ciekawe jednak, że i jego stosunki z prawicą wcale nie były dobre. Rozwadowski nie lubił Narodowej

Demokracji. Brało to się jeszcze z czasów przed odzyskaniem niepodległości. ND była przeciwniczką orientacji na Austrię, a Rozwadowski był długo jej wyznawcą. Poza tym, generał uważał, że ND chce sobie podporządkować wojsko (tworząc np. Armię Hallera), a to kłóciło się z wyznawaną przez niego zasadą apolityczności armii. W roku 1927, kiedy był więziony, poparł jednak tworzenia Obozu Wielkiej Polski, pisząc w jednym z listów: "Obóz Wielkiej Polski miałby moim zdaniem, mimo całego endeckiego powinowactwa, tę wielką zaletę, że skupiając bądź co bądź lepsze elementa, mógłby i powinien poprowadzić je agresywnie i całkiem bezwzględnie do walki z wszelkim bolszewizmem, tak politycznym, socjalnym (...), a nawet fanatyzować masy, aby się mogły oprzeć rozkładowi, który może nawet tak bezwiednie jak w Rosji Kiereński, nasze zwariowane Essery z obozu "Wyzwolenia" i Piłsudczyzny tak bardzo niebezpiecznie dzisiaj już propagują".

Pewnym zgrzytem, choć nieco groteskowym, jest słowo końcowe wydawcy, czyli szefa wydawnictwa RYTM. Tłumaczy się on tak z antypiłsudczykowskiego wydźwięku książki: "Jedno jest jednak pewne i nie budzi wątpliwości: Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski był Naczelnikiem Państwa, Przewodniczącym Rady Obrony Państwa, Naczelnym Wodzem i z racji swego stanowiska podejmował kluczowe decyzje oraz brał na siebie pełną odpowiedzialność wobec Boga i Historii". Uff, brzmi to jak wstępniak z sanacyjnej "Gazety Polskiej" z lat 30.

Mariusz Patelski, **"Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski - Żołnierz i dyplomata"**, RYTM, Warszawa 2003, ss. 462

Myśl Polska Nr 35 (31.08.2003)

Dmowski odpowiedzialny za holocaust?

Alina Cała z Żydowskiego Instytutu Historycznego słynie z tego, że jej twórczość jest nie tylko tendencyjna, ale wręcz skandaliczna. Jej zaciekłość szkodzi nie tyle polskiej historii, ale jej samej. Cała tropi "polski antysemityzm", ale nabiera to cech patologicznych. Teraz znalazła sobie nowy obiekt ataku – pomnik Romana Dmowskiego w Warszawie.

Po świetnej replice **Jana Żaryna** na łamach "Rzeczpospolitej", dziennik ten zamieścił polemikę z jego tezami właśnie (nr z 26.10.2006). I cóż takiego pisze pani Cała? Jej główny wniosek brzmi: "To nie Dmowski dokonał zagłady Żydów, ale na nim spoczywa część odpowiedzialności za to, że Holokaust się tak dobrze udał – zamordowanych zostało 90 proc. polskich Żydów". Jest to opinia nie tylko skandaliczna, ale także kompromitująca autorkę moralnie. Ten głos wpisuje się w chór fałszerzy historii piszących z uporem maniaka o "polskich obozach koncentracyjnych". Pani Cała takiego sformułowania nie używa, bo wie jak było – ale dla ignorantów z Zachodu jej opinia jest potwierdzeniem głoszonych przez nich bzdur. Zresztą, gdybyśmy nawet uznali, co uważam za bezzasadne, że propaganda antyżydowska prowadzona w Polsce w latach 30 przyczyniła się rzeczywiście do "udanego" holocaustu - to tak samo należałoby oskarżyć inne polskie partie polityczne o to samo. Kiedy się bowiem czyta organy prasowe PSL "Piast", Chadecji czy niektóre gazety piłsudczykowskie – to doprawdy różnic nie ma, ba, prasa ludowa była w wielu kwestiach jeszcze bardziej radykalna niż endecka. I co, wyrzucić mamy z naszej pamięci Witosa, Korfantego, Rydza-Śmigłego czy Piłsudskiego (mimo że uchodził za filosemitę)? Absurd. Wygląda na to, że ruch narodowy stał się swego rodzaju "kozłem ofiarnym", odpowiadającym w całości za "przedwojenny antysemityzm".

Skandaliczność publikacji Aliny Cały polega także na tym, że uwłacza ona pamięci tych ludzi z obozu narodowego, którzy zginęli za to, że pomagali w czasie wojny Żydom. Wymienić tu należy chociażby **Jana**

Mosdorfa, zamordowanego w Auschwitz. A inni narodowcy, którzy pomagali ratować Żydów – **Jan Dobraczyński** czy **ks. Marceli Godlewski**? Pani Cała nie jest w stanie zrozumieć, że czym innym był realny konflikt gospodarczy i społeczny między Polakami a Żydami w okresie II RP, a czym innym zbrodnicze ludobójstwo dokonane przez Niemców. Między tymi zdarzeniami nie ma żadnej nici wiążącej. Jeśli Dmowski w jakiś sposób miałby odpowiadać za to, że holocaust tak dobrze się "udał", to proszę pokazać chociaż jednego działacza narodowego, który brałby udział w pomaganiu Niemcom w ich zbrodniczej działalności? A ja mogę jej wyliczyć tysiące, którzy im w tym przeszkadzali, bo nawet jeśli nie brali czynnego udziału w udzielaniu pomocy Żydom, to walczyli z Niemcami w ramach polskiego ruchu oporu. Polscy narodowcy jako pierwsi padli ofiarą terroru niemieckiego już w latach 1939-1940, gdyż dla III Rzeszy byli wrogami nr 1. Tak więc, czy ktoś tego chce czy nie, polscy narodowcy i Żydzi byli po tej samej, prześladowanej przez Niemców – stronie. I nie zmienią tego nawet najbardziej histeryczne publikacje pani Cały. Zresztą cały jej wywód jest skażony schematycznym myśleniem. Bo przeczytajmy: "Koncepcje polityczne Romana Dmowskiego, czy to w czasie działalności w Dumie, w Komitecie Narodowym Polskim, czy podczas decydowania o kształcie granic oraz o charakterze narodowym państwa - wypływały głównie z ksenofobii oraz przekonania o spisku żydowskim, antypolskim i wszechświatowym. Antysemityzm nie był "dodatkiem" do programu politycznego endecji, lecz jedną z jego podstaw. W Dumie popchnął ją do sojuszu z antypolsko nastawioną prawicą rosyjską, bowiem liberałowie nie podzielali nienawiści do Żydów". A więc nie chodziło o odbudowanie państwa polskiego, o wielką rozgrywkę geopolityczną z Niemcami, o stworzenie nowoczesnego narodu, zdolnego żyć w nowej Europie, chodziło – jak tego chce autorka – tylko o antyżydowską fobię. Trudno o bardziej jaskrawy przykład ciasnoty myślenia.

I jeszcze jedno przekłamanie. "Kiedy Hitler doszedł do władzy, Dmowski "skakał do góry z radości", jak to opisał jego przyjaciel – oraz nie ukrywał "podziwu i zazdrości pod adresem Niemiec hitlerowskich dla ich wojny

z Żydami", pragnąc naśladować w Polsce "integralną rewolucję w Niemczech" - pisze autorka. Tę sprawę wyjaśniano już po wielokroć – Dmowski był przekonany, że dojście Hitlera do władzy doprowadzi Niemcy do katastrofy, stąd ta "radość". Ruch hitlerowski i ruch narodowy były zbudowane na zupełnie przeciwstawnych fundamentach ideowych, poza tym tradycyjna antyniemieckość endecji wykluczała jakiekolwiek współdziałanie. Po co więc sugerować coś, czego nie było? I właściwie po co ten cały szum?

Myśl Polska Nr 45 (5.11.2006)

To był akt rozpaczy, nie rozumna koncepcja

Przyznam, że kiedy tygodnik "Newsweek Polska" opublikował informację, że w najnowszym numerze paryskich "Zeszytów Historycznych" opublikowany będzie memoriał kilkunastu polskich polityków, którzy w lecie 1940 roku zwrócili się do władz niemieckich z propozycją rozmów na temat przyszłości Polski – sądziłem, że będziemy mieli do czynienia z małym trzęsieniem ziemi. Przede wszystkim dlatego, że na liście osób, które ów memoriał podpisały widniały nazwiska dwóch prominentnych działaczy Stronnictwa Narodowego – **Tadeusza Bieleckiego i Jerzego Zdziechowskiego**.

Fakt podpisania tego dokumentu przez polityków konserwatywnych czy piłsudczykowskich mniej dziwił, ale narodowcy? To nie mieściło się w tradycji tego obozu politycznego, jak żaden inny wyczulonego na zagrożenie niemieckie. Okazało się jednak, że rzeczy, które jeszcze kilkanaście lat temu wywołałyby burzę – dzisiaj mało kogo interesują. Łatwo sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby ów dokument ujrzał światło dzienne np. w latach 50. czy 60. Po pierwsze, w kraju byłby natychmiast wykorzystany przez propagandę władz, jako potwierdzenie tezy o współpracy "polskiej reakcji" z hitlerowskimi Niemcami. Co więcej, skandal byłby murowany także wśród emigracji politycznej. Nie wiem jak by to wpłynęło na pozycję Tadeusza Bieleckiego, prezesa Stronnictwa Narodowego na Wychodźstwie, ale jedno jest pewne – musiałby się liczyć z dużymi wewnętrznymi kłopotami, być może nawet musiałby ustąpić z zajmowanego stanowiska. Jeśli ktokolwiek z członków

kierownictwa SN wiedział o tym fakcie, to – podobnie jak sam zainteresowany - milczał jak zaklęty, zdając sobie sprawę z ewentualnych negatywnych reperkusji jego ujawnienia. Dzisiaj możemy o tym dyskutować spokojnie i bez emocji. Może to i dobrze.

Próbę oceny wspomnianego memoriału z 24 lipca 1940 roku dał **Lech Mażewski** a artykule "Nieznany memoriał" (NMP, nr 9). Autor w pełni podziela intencje jego autorów, zarzucając im tylko to, że tego rodzaju inicjatywę należało podjąć przed wybuchem wojny, tzn. na początku 1939 roku. Sojusz z Niemcami miałby uchronić Polskę przed konsekwencjami przegranej wojny. W roku 1940 było już za późno na realizację takich pomysłów. Ta teza jest dyskutowana w polskiej publicystyce historycznej od lat. Osobiście zawsze byłem wobec niej sceptyczny, gdyż jest to klasyczna papierowa koncepcja nie osadzona w polskich realiach roku 1939. **Była to koncepcja z jednej strony niemożliwa do zrealizowania ze względu na stan nastrojów społecznych i stanowisko praktycznie wszystkich sił politycznych w Polsce; po drugie, ewentualna realizacja tego pomysłu postawiłaby Polskę w roku 1945 w sytuacji nie do pozazdroszczenia.** Niemcy, wasalizując Polskę w 1939 roku, zrobiłyby wszystko, by użyć polskich sił zbrojnych w walce z Rosją Sowiecką. Musielibyśmy albo zgodzić się na udział w wyprawie na Moskwę i Stalingrad lub sojusz polsko-niemiecki załamałby się bardzo szybko w przypadku odmowy, ze wszystkiego tego konsekwencjami. Udział w wojnie u boku Niemiec to dziesiątki tysięcy zabitych pod Moskwą czy Stalingradem, a potem status pokonanego sojusznika III Rzeszy, także ze wszystkimi tego konsekwencjami, zwłaszcza natury terytorialnej. Oczywiście można dywagować nad tym, że takie państwa jak Finlandia czy Rumunia niewiele straciły na sojuszu z Hitlerem, ale państwa te nie graniczyły z Niemcami i nie musiały rekompensować strat terytorialnych na wschodzie zdobyczami na zachodzie. Czy Polska jako sojusznik III Rzeszy, nawet w przypadku odpowiedzenia się w końcowej fazie wojny po stronie antyhitlerowskiej, mogłaby liczyć na przyznanie jej ziem zachodnich? Niemożliwe. Zachód i tak nie kwapił się na przyznanie nam Pomorza ze Szczecinem i Śląska z Wrocławiem, ale jednak musiał na to pójść, bo podskórnie czuł się wobec nas winny. W innym przypadku nie miałoby to miej-

sca, a Rosja nigdy nie wysunęłaby programu przesunięcia granic zachodnich Polski nad Odrę. W efekcie powojenna Polska byłaby ograniczona do nieco powiększonego na zachodzie GG (oczywiście bez Lwowa).

Te wszystkie mankamenty i niebezpieczeństwa były jak najbardziej aktualne w lecie 1940 roku. Dlaczego więc grupa polityków z Tadeuszem Bieleckim podjęła próbę kolaboracji? **Z prostego powodu – ludzie ci uwierzyli, że Niemcy wygrali wojnę. Gdyby takiej wiary nie mieli, nigdy na coś podobnego by się nie zdecydowali. Klęska Francji była dla wielu takim wstrząsem, że przestali wierzyć w pokonanie Niemiec.** Tego samego zdania był prawdopodobnie przebywający na terenie Rumunii marszałek **Edward Rydz-Śmigły**, który, wedle ostatnich ustaleń, wrócił do okupowanej Polski, bo uwierzył w zwycięstwo Niemiec i chciał znaleźć jakieś miejsce dla siebie i dla Polski w nowej rzeczywistości. Pobudki tych ludzi były więc bez wątpienia patriotyczne (ratowanie narodu przed zagładą), ale ocena nietrafiona. Mówiąc obrazowo, Bielecki i Zdziechowski wybrali wariant Petaina a nie de Gaulle`a. Tylè tylko, że Petain miał jakieś atuty, oni zaś żadnych. Petain chronił dużą część terytorium Francji przed okupacją, my byliśmy pod okupacją od roku. Petain oszczędzał Francuzów, u nas było już po AB Aktion, po Palmirach i masowych mordach na Pomorzu i w Wielkopolsce. Wreszcie, co najważniejsze, w Londynie działał legalny rząd polski, uznany przez cały świat. Petain miał mandat Zgromadzenia Narodowego, a de Gaulle był w 1940 roku uzurpatorem. W naszym przypadku było odwrotnie – gdyby Bieleckiemu i Zdziechowskiemu przyszło realizować w praktyce swoją koncepcję, to staliby się renegatami, którzy porzucili własny rząd i ideę walki z Niemcami. Inna byłaby sytuacja, gdyby skapitulowała Wielka Brytania. Jednak dopóki stawiała opór, to chcąc nie chcąc trzeba było przy niej stać, gdyż była to nasza wspólna wojna. Szczęśliwe się stało, że Niemcy nie potraktowali poważnie memoriału polskich polityków. Był to bowiem nie akt politycznej rozwagi i zimnej kalkulacji, lecz akt rozpaczy, zwątpienia i chwilowej słabości. Realizacja w jakiejś formie pomysłu zarysowanego w tym memoriale wiele by Polsce nie pomogła, a autorów postawiłaby poza nawiasem, być może nawet pozbawiłaby ich życia. Były w historii Polski chwile

tragiczne, kiedy wydawało się, że nie ma dobrych rozwiązań. Latem 1940 roku tak jednak nie było – polscy żołnierze instynktownie przedzierali się do Anglii, bo Anglia walczyła. Ci prości żołnierze wykazywali w tym momencie instynkt narodowy, którego zabrakło autorom memoriału.

Myśl Polska Nr 12 (23.03.2003)

Kiedy została tylko myśl...

Nasz tygodnik istnieje już 64 lata, jest jednym z najbardziej zasłużonych w dziele krzewienia polskiej tradycji i myśli politycznej. Jak słusznie zauważają autorzy opublikowanego właśnie wyboru artykułów z lat 1941-1976, dorobek ten jest bardzo mało znany. "Myśl Polska" bardzo długo była typowym pismem emigracyjnym, w kraju prawie niedostępnym. Mały nakład (ok. 1-2 tys. egzemplarzy) ograniczał oddziaływanie, w mimo to pismo cieszyło się na emigracji powszechną renomą – było opiniotwórcze i wszyscy musieli się z nim liczyć.

Antologia tekstów opracowanych przez **Wojciecha Turka i Macieja Urbanowskiego** jest oczywiście tylko wyborem, ale jakże reprezentatywnym. Wystarczy tylko wymienić nazwiska autorów publikowanych tekstów: **Tadeusz Bielecki, Wojciech Wasiutyński, Marian E. Rojek, Zygmunt Berezowski, Władysław Folkierski, Jerzy Pietrkiewicz...** To najlepsze pióra Narodowej Demokracji na Wychodźstwie. Dlaczego autorzy ograniczyli wybór do roku 1976? Ponieważ, jak pisze we wstępie Wojciech Turek, skończyła się wtedy pewna epoka – w tym właśnie roku swoja ostatnią analizę napisał Tadeusz Bielecki. Potem, sugeruje Turek, poziom pisma obniżał się. Daje więc do zrozumienia, że nic ciekawego już nie publikowano, a następca Bieleckiego, **Antoni Dargas**, chciał tylko udowodnić, że nie jest cieniem prezesa i odwołał się do usuniętego z szeregów Stronnictwa Narodowego – **Jędrzeja Giertycha**. Jest to uproszczenie. W szeregach SN i nie tylko przez

cały okres po 1945 roku trwał spór co do linii postępowania – jedni upatrywali nadziei w III wojnie światowej (przynajmniej na początku), widzieli obóz narodowy w obozie zachodnim, nawet za cenę wyrzeczenia się samodzielności (vide afera Bergu z 1953 roku). Linie tą symbolizował Tadeusz Bielecki. Jego linia napotykała jednak na bardzo duży opór – reprezentanci tzw. tradycyjnej linii nie chcieli, by angażować się jako narzędzie polityki Zachodu, zalecali wstrzemięźliwość i nie upatrywali w Rosji wroga numer 1. Z czasem zaczęli nawoływać do weryfikacji stanowiska wobec PRL, traktując je jako państwo zależne od Moskwy, ale jako państwo polskie. Nie byli więc zwolennikami szukania sojuszników przeciwko Moskwie gdzie się da (np. w Chinach) – byli zwolennikami ewolucji systemu PRL w kierunku narodowym.

Z opublikowanych w antologii tekstów wyłania się obraz zmagań ideowych i politycznych publicystów "MP". Od potępienia Jałty i nowej okupacji, poprzez szukanie konstruktywnych rozwiązań, po złudzenia (np. szukanie przeciwwagi dla Rosji w Chinach). Raz upatrywano nadziei w USA, potem narodowców fascynowała Francja de Gaulle`a. Szkoda, że autorzy antologii ograniczyli się tylko do pokazania argumentów jednej strony sporu toczącego się wewnątrz środowiska narodowego. Nie jest chyba na miejscu pokazanie jednej strony medalu i stwierdzenie, ze druga nie zawiera nic ciekawego. Należałoby też we wstępie pokazać istotę sporu, a przełomem był rok 1953, kiedy wybuchła afera Bergu. Linia Antoniego Dargasa (wspieranego przez np. **Wacława Całusa, Witolda Olszewskiego, Stanisława Kozaneckiego i Jędrzeja Giertycha**) miała od końca lat 60. poważne poparcie wewnątrz SN, tak że nawet Bielecki musiał się z tym liczyć. Charakterystyczny jest początek jego wystąpienia na Zjeździe SN w 1976 roku. Powiedział wówczas: "Uspokajam tych, którzy się boją, że chciałbym sojuszu z Chinami. Ani ja im tego nie proponuję, ani one się do tego nie kwapią". To pogłos ostrej dyskusji na temat strategii geopolitycznej SN – w tym czasie dominowało przekonanie, że los Polski rozstrzygnie się na linii Polska-Rosja, przy czym Rosji nie postrzegano jako wroga śmiertelnego.

Podsumowując, opublikowana antologia jest bardzo cenną pozycją wydaw-

niczą, przypominająca polskiemu czytelnikowi mało znany fragment polskich dziejów związany z historią obozu narodowego. Minusem jest jednostronność dobranego materiału faworyzującego tylko jedną ze stron politycznego dyskursu. Warto na koniec dodać, że bardzo cenne jest opublikowanie kilku ważnych tekstów poświęconych kulturze. "Myśl Polska" zawsze doceniała wagę kultury dla sprawy narodowej. Wszak nie bez przyczyny w podtytule zawarte jest motto: "Tygodnik poświęcony życiu i kulturze narodu".

"Myśl Polska" na emigracji 1941-1976 – antologia tekstów" (wybór i opracowanie Wojciech Turek i Maciej Ubranowski),
ARCANA, Kraków 2005, ss. 480
Myśl Polska Nr 17 (24.04.2005)

Bolesław Piasecki – o sprawiedliwą ocenę

18 lutego 1915 roku, 90 lat temu, urodził się **Bolesław Piasecki**, późniejszy twórca Ruchu Narodowo-Radykalnego "Falanga", w czasie wojny przywódca Konfederacji Narodu, a po 1945 roku PAX-u. To postać tyleż tragiczna, co fascynująca. Nie miał nigdy dobrej prasy, pisano o nim w reguły w ciemnych barwach, a w wielu przypadkach oszczerczo. Oskarżano go o niestworzone rzeczy, demonizowano i opluwano. Robili to z jednej strony jego ideowi przeciwnicy z lewicy, z drugiej hurrapatrioci, którzy z reguły nie mieli nic ważnego na koncie, a którzy leczyli swoje kompleksy agresją i powtarzaniem bzdur. Byli i tacy, którzy niewiele wiedząc, powtarzali to, co zasłyszeli.

Bolesław Piasecki był przede wszystkim człowiekiem idei, przez całe

życie, także po 1945 roku, kiedy było najtrudniej. Wychowany w wolnej Polsce, zaczynał w młodzieżowych organizacjach obozu narodowego. Był typowym przedstawicielem tamtego pokolenia – pełnym wielkich planów, oddania Polsce, gotowym do największych poświęceń. Na pewno był ambitny, w gorącej atmosferze lat 30. nie wierzył w dotychczasowe metody walki politycznej stosowane przez Stronnictwo Narodowe, wybrał Obóz Narodowo-Radykalny (ONR), za co powędrował wraz z innymi do Berezy Kartuskiej (1934). Kiedy wyszedł z obozu, miał już swoją organizację – RNR-Falanga. Szybko stała się ona najprężniejszą organizacją narodową – liczyła w szczytowym momencie ok. 5 tysięcy ludzi. Wbrew temu, co się pisze o "Falandze", jej trzon stanowili ludzie inteligentni i wykształceni – kwiat akademickiej młodzieży Polski Międzywojennej. Piasecki parł do władzy, ale potrafił też czekać – ułożył się z częścią narodową obozu piłsudczykowskiego, czego wielu nie chciało mu wybaczyć. Plan ideowego oddziaływania na dotychczasowego przeciwnika wydał mu się skuteczniejszy i bardziej realistyczny niż otwarta walka. To zapowiedź taktyki powojennej, zastosowanej w stosunku do komunistów.

W czasie wojny Piasecki postanowił walczyć z bronią w ręku – uważał, że w polskiej tradycji ludzie, którzy walczą, potem rządzą. Stworzył Konfederację Narodu i jej zbrojne ramię – Uderzeniowe Bataliony Kadrowe (UBK), które skierował na Kresy Wschodnie. Sam zresztą stanął na ich czele – w opinii dowództwa AK były to najbardziej karne i bojowe jednostki. Nie mniej ważną kratą działalności Piaseckiego była opieka nad pionem kulturalnym. Jeszcze przed wojną kultura była przez niego stawiana na równi z innymi formami walki politycznej. Podczas wojny przy KN-ie swoją przystań znaleźli najwybitniejsi poeci polscy XX wieku: Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński i Andrzej Trzebiński. Wszyscy zginęli.

Najtrudniejszy, ale i najbardziej fascynujący okres jego życia zaczął się w 1945. Aresztowany przez NKWD odbył rozmowę z **Iwanem Sierowem**, po której ten miał stwierdzić: "Gienalnyj malczik". Sowieci wiedzieli, że weszli do kraju im wrogiego, że komuniści są słabi, i że bez jakiegoś szerszego

oparcia nigdy nie będzie spokoju. Rozmawiali w tym czasie z wieloma ludźmi z obozu komunistycznego, tak jak wcześniej rozmawiali np. z gen. Marianem Januszajtisem (1940-1941). Nikt nigdy nie udowodnił, że Piasecki stał się zwykłym agentem NKWD, mimo to natrętnie się to powtarza. Rację miał **Stefan Kisielewski**, nota bene przyjaciel Piaseckiego, który ocenił, że był to polityczny kontrakt, w którym Piasecki sprzedał Sierowowi to, czego nie miał. Ideą przewodnią Piaseckiego była ochrona biologiczna narodu polskiego i długofalowy plan przetrwania w epoce marksizmu z docelowym jego przezwyciężeniem. Tak narodził się PAX, skupiający w swych szeregach wielu ocalonych z wojny narodowców wszelkich odcieni. To tu mogli swobodnie działać i mówić takie rzeczy, za które gdzie indziej mieliby kłopoty. **Piasecki ocalił od śmierci i nędzy setki ludzi, nigdy nie żądał wdzięczności, zresztą zarówno wówczas, jak i dziś nikt mu jej nie okazuje, często ci, którzy dzięki niemu przeżyli.** Za swoją działalność zapłacił drogo – śmiercią syna, porwanego i okrutnie zamordowanego w 1957 roku. Po tym ciosie nigdy nie był tym samym człowiekiem. Wielu mówi, że przegrał politycznie, ale to względna ocena. W latach 60. powiedział do swoich współpracowników: "Oni nie atakują nas za to, czym jesteśmy dzisiaj, oni nas atakują, bo wiedzą, kim możemy być jutro". Ci "oni" to dawni stalinowcy i ich dzieci, którzy w latach 60. i 70. stali się "demokratyczną opozycją", to późniejsi korowcy. Dla nich PAX i Piasecki stanowili największe zagrożenie, nie partia, z którą i tak w końcu się dogadali. Piasecki zmarł w 1979 roku, jego organizacja już nigdy nie odegrała większej roli, bez niego gasła z roku na rok, aż wyparła się przeszłości, przyłączając się do kampanii oszczerstw i przy okazji udając, że nie ma z nim nic wspólnego. Pozostała tylko nadzieja, że czyny tego człowieka kiedyś zostaną sprawiedliwie ocenione.

Myśl Polska Nr 8 (20.02.2005)

Część II – Niemieckie reminiscencje

Niemiecka rewizja historii

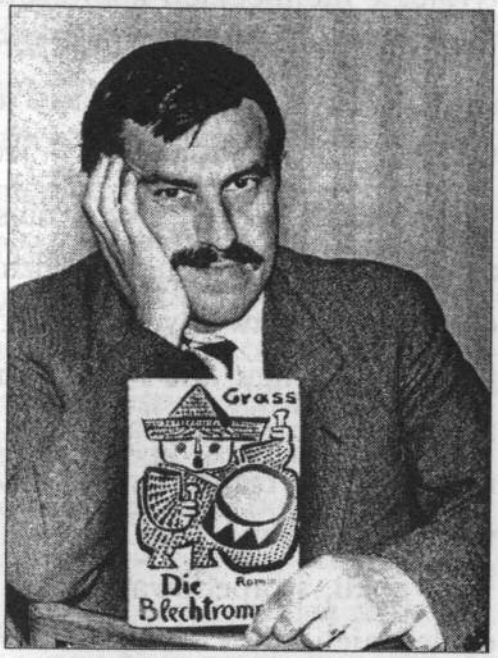

Rację mają ci, którzy twierdzą, że historia jest przedpolem polityki. Tak było zawsze – historia służyła do legitymizacji władzy, była potrzebna, by uzasadnić przejście do "nowej epoki", wreszcie stała się elementem zwyczajnego utrzymywania rządu dusz nad społeczeństwem. Nigdy nie było czegoś takiego jak pełna niezależność nauk historycznych, zawsze są one uzależnione od bieżącej gry, od świata wielkiej polityki. I dlatego, jeśli od kilkunastu lat obserwujemy w Niemczech swoisty renesans historii najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów ostatniej wojny – to musimy sobie zadać pytanie: jaki jest tego cel?

Po 1945 roku Niemcy nie mieli swojej historii pisanej przez swoich historyków – ich dzieje przedstawiali i interpretowali inni. Bardzo długo Niemcy mieli "kompleks Hitlera", to zaś skutecznie zamykało im usta – naród nie miał swojej wizji historii, a kilka powojennych pokoleń wychowało się w duchu ahistorycznym i anarodowym. Jednak od połowy lat 80. sytuacja zaczęła się zmieniać – na rynku księgarskim zaczęły pojawiać się książki podejmujące takie tematy, które do tej pory uznawano za tematy "tabu". Bardzo szybko w tej dyskusji wyłonił się problem centralny – czyli "wypędzenie". Potem doszły i inne kwestie – w tym gehenna ludności miast niemieckich bombardowanych przez lotnictwo alianckie (z najdramatyczniejszym wydarzeniem, jakim było zniszczenie Drezna w lutym 1945 roku). Niemcy nagle "odkrywali", że także oni byli ofiarami, także oni cierpieli i podlegali eksterminacji. Ten

trend był i jest podsycany przez Związek Wypędzonych, który z "wypędzenia" uczynił już swego rodzaju ideologię.

Niemiecka lewica bardzo długo unikała jak ognia pisania o III Rzeszy w duchu rewizji historii. Jeśli już, to podnoszono zbrodnie Hitlera i martyrologię niemieckich komunistów i socjaldemokratów. Wzorem "dobrego" Niemca był **Willy Brandt,** który uczestniczył w Norwegii w antyhitlerowskich ruchu oporu. Stopniowo jednak niemiecka lewica zaczęła odnosić się także do innych problemów – jednym z nich stało się "wypędzenie".

Guenther Grass, chyba najsławniejszy dzisiaj pisarz niemiecki, zawsze zwalczał "niemiecki nacjonalizm", to zaś sprawiało, że nie wypadało pisać o cierpieniach zwykłych Niemców, wszak to ofiary Hitlera, a w dużej części jego poplecznicy. Ale i to się zmieniło – Grass wydał w tym roku absolutny bestseller: opowiadanie **"Im Krebsgang"**. Książka opowiada o tragedii niemieckiego transatlantyka "Wilhelm Gustloff", który z prawie 6 tysiącami uciekinierów z Prus Wschodnich i Pomorza poszedł na dno 30 stycznia 1945 roku, storpedowany przez sowiecką łódź podwodną. Z tej katastrofy ocaleli nieliczni. **Dzisiaj los "Wilhelma Gustloffa", statku zwodowanego i ochrzczonego przez Adolfa Hitlera w 1937 roku, stał się symbolem losu "zwykłych Niemców" w roku 1945. Grass otworzył nowy etap w niemieckiej dyskusji o historii – zapalił zielone światło dla tej tematyki, która do tej pory była domeną prawicy i ziomkostw.**

Współpracujący z Grassem lewicowy tygodnik "Der Spiegel" wydał ostatnio specjalny numer poświęcony losowi Niemców z Europy Wschodniej [omówimy teksty w nim opublikowane za tydzień] – znakomite zdjęcia, mapy, wykresy, liczne artykuły i wywiady – widać, że to się w Niemczech czyta. Na pierwszych stronach zdjęcie Niemców uciekających w 1945 roku z Gdańska, a obok fotografia pokazująca Albańczyków uciekających w 1999 roku z Kosowa. Tak oto znaleziono wspólny mianownik historii – „wypędzenie" jest zawsze zbrodnią. Ale to nie wszystko – kanał telewizyjny "TV Spiegel" regularnie pokazuje stare hitlerowskie kroniki filmowe, często kolo-

rowe – tam też można obejrzeć tragizm losu Niemców. Niedawno wyświetlono prawie dwugodzinny materiał nakręcony przez aparat propagandowy **Josepha Goebbelsa** pokazujący skutki nalotów alianckich na jedno z miast Rzeszy – zdjęcia są rzeczywiście wstrząsające. Co ciekawe, filmu tego nigdy nie wyświetlono w kinach III Rzeszy, a kanał "TV Spiegel" zaprezentował go bez żadnego głosu spikera, co tylko zwiększyło jego dramatyczną wymowę.

W Polsce organizacje przesiedlonych, w tym przypadku Kresowianie, działają niemal w podziemiu, borykają się z gigantycznymi problemami organizacyjnymi i finansowymi. Tymczasem w Niemczech **Związek Wypędzonych (BdV)** cieszy się pełnym poparciem państwa – na jego zjazdy regularnie przyjeżdżają kanclerze federalni, a z budżetu państwa BdV dostaje 140 mln marek rocznie! Nic więc dziwnego, że Erika Steinbach ma także nieograniczony dostęp do mediów. Kilka miesięcy temu pierwszy kanał telewizji niemieckiej ZDF, w porze największej oglądalności (godz. 20.15), nadał dwa dokumentalne filmy o "wypędzeniu", najpierw z Czech, a potem z Polski. Film był sugestywny, a jego wydźwięk jednoznaczny – Niemcy też byli ofiarami i stała im się wielka krzywda. Po projekcji odbyła się długa dyskusja, w której prym wiodła **Erika Steinbach**, traktowana z honorami przez prowadzących program dziennikarzy. Z "naszej" strony wystąpił **Janusz Reiter,** ale jego udział był żenujący, a argumenty, których używał bardzo mętne.

Fakt prezentowania w publicznej telewizji niemieckiej problematyki "wypędzenia" jest bardzo znamienny – świadczy o tym, że establishment w pełni popiera ten kierunek, które reprezentuje BdV. Przeczy to również tezie spotykanej u nas, że ziomkostwa to "margines", który nie ma żadnego wpływu na politykę państwa niemieckiego.

Politycy niemieccy już kilka razy pochwalili Polskę, że – w przeciwieństwie do Czech – jest otwarta na tematykę "wypędzenia". I rz eczywiście, jeśli prześledzimy to, co dzieje się w kwestii "nowego spojrzenia na historię", to okaże się, że strona polska wyszła naprzeciw niemieckiej wizji bardzo daleko. Początki były skromne – w 1995 roku Wydawnictwo Literackie w Krakowie opublikowało książkę **Juergena Thorwalda pt. "Wielka ucieczka"**, która

jest zapisem relacji, jakich autorowi udzielili w latach 40. niemieccy uciekinierzy z Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska. Potem przyszły liczne publikacje naukowe, wreszcie do gry weszły wysokonakładowe tygodniki i dzienniki, które prześcigały się w opisach tragedii Niemców i polskich "zbrodni". Prym wiedzie w tym dziele tygodnik "Wprost". Na koniec pojawił się Instytut Pamięci Narodowej, który ciąga po sądach polskich komendantów i strażników z obozów, w których przetrzymywano po 1945 roku Niemców, a nawet udało mu się doprowadzić do skazania Polaka, który pod przymusem brał udział w eskortowaniu Żydów na śmierć w obozie Chełmno nad Nerem! Cóż za piękny prezent dla Niemców rewidujących dotychczasowe, "tendencyjne" spojrzenie na historię.

W tym procederze udało się Niemcom i ich polskim sojusznikom zagrać na tradycyjnej antykomunistycznej nucie. Przecież to wszystko, czego dokonywano po 1945 roku w stosunku do Niemców – to dzieło "komunistów" i ich reżimu. Nie ma co więc kruszyć kopii i bronić czegoś, co jest nam obce – tak przekonują piewcy "nowej historii". I niektórzy dali się na to nabrać, zapominając, że w ówczesnym rządzie "komunistycznym" zasiadali także politycy PSL ze **Stanisławem Mikołajczykiem** na czele i Stronnictwa Pracy z **Karolem Popielem.** Ugrupowania te bynajmniej nie miały innego zdania w kwestii niemieckiej, niż PPR. Sprawa Ziem Zachodnich i polityki wobec Niemców pozostających jeszcze w Polsce była wspólna.

Niebezpieczne w tym wszystkim jest to, że tezy lansowane przez stronę niemiecką przenikają nie tylko do mediów, ale także do szkół. Pod płaszczykiem "tolerancji" i "praw człowieka" wciska się młodzieży półprawdy lub wręcz jawne kłamstwa. Słusznie zauważył **prof. Bronisław Łagowski**, że jeszcze parę lat działalności "kiereszwyczajki" i nikt nie będzie wiedział, co się w Polsce działo. Na naszych oczach pisze się nową historię Polski, pod dyktando wpływowych kół żydowskich, ukraińskich i niemieckich. Jaki ma być finał tej operacji – łatwo przewidzieć. Wszystko co tu napisano, nie znaczy, że Niemcy nie mają prawa zajmować się swoją historią, nie pisać o tragedii "Wilhelma Gustloffa", czy o zagładzie wsi Nemmersdorf w Prusach Wschodnich, gdzie

jesienią 1944 roku Armia Czerwona wymordowała prawie wszystkich cywilnych mieszkańców. Chodzi o coś zupełnie innego – przypominanie prawdy historycznej musi być pełne i pozbawione podtekstów politycznych. Historia nie może służyć Niemcom do podbudowania żądań rewizjonistycznych, nie może stać się ideologicznym orężem w ręku BdV i pani Steinbach. Wtedy bowiem będzie to także bezczeszczenie pamięci tych Niemców, którzy najpierw padli ofiarą szaleńczej polityki Adolfa Hitlera, który – mówiąc wprost – zaprzepaścił w ciągu kilku lat niemieckie zdobyczne na wschodzie uzyskane w ciągu 700 lat, a teraz mają służyć jako argument w rozgrywce z Polską i Czechami. Polacy potrafią uszanować także pamięć niemiecką, ale tylko wtedy, kiedy będzie ona pozbawiona jadu i ukrytego celu.

Drezno – wina i kara

Noc z 13 na lutego 1945 roku była końcem starego, zabytkowego miasta Drezno – stolicy Saksonii. Tej nocy i następnego dnia trzy naloty brytyjskie i amerykańskie zniszczyły miasto doszczętnie, zginęło od 50 do 100 tysięcy ludzi. Wedle oficjalnej wersji nalot miał na celu sparaliżowanie węzła komunikacyjnego oraz likwidację przemysłu zbrojeniowego. Tak naprawdę jednak celem ataku była ludność cywilna oraz zabytkowa zabudowa miasta. Taką tezę postawił **David Irving**, znany i kontrowersyjny brytyjski historyk. Swoją książkę wydał po raz pierwszy w roku 1963, kiedy nie traktowano go jeszcze jako

wyklętego. Drugie wydanie ukazało się w 1995 roku, a obecnie w Polsce. Przez te lata książka nabrała nowego wydźwięku, zwłaszcza w kontekście niemieckiej rewizji spojrzenia na II wojnę światową.

Ustalenia dokonane przez Irvinga są raczej niepodważalne. Nalot lotnictwa alianckiego miał czysto terrorystyczny charakter. Spory zaczynają się, kiedy dotykamy motywów decyzji o zbombardowaniu Drezna. Anglicy, bo oni byli głównymi sprawcami tej tragedii, bronili się po wojnie lansując tezę, że dokonali nalotu na wyraźną prośbę Rosji. Miało to nastąpić w lutym 1945 roku, kiedy wojska Stalina zajmowały Śląsk. Rosjanom miało chodzić o sparaliżowanie zaplecza niemieckiego frontu, w tym przede wszystkim największego węzła kolejowego – Drezna. Jeśli nawet tak było, to – jak pisze Irving – rosyjska sugestia była tak ogólnikowa i nieprecyzyjna, że nijak nie można traktować jej jako decydującej. Motywy dokonania nalotu były zgoła inne: **Winston Churchill** jeszcze w 1944 roku poważnie myślał o użyciu gazów trujących przeciwko ludności niemieckiej – miał to być odwet za ataki V-2 na Londyn. Przerażeni współpracownicy brytyjskiego premiera odwiedli go od tego zamysłu. Jednak były inne sposoby dokonania odwetu – naloty dywanowe na miasta niemieckie. Churchill był do bólu szczery, stwierdził na początku 1945 roku, że alianci zgładzili już kilka milionów Niemców, a do końca wojny zgładzą jeszcze milion. Zabici "zrobią" miejsce dla milionów niemieckich uchodźców ze Wschodu, których gdzieś trzeba ulokować. A więc zemsta połączona z zabójczym wręcz pragmatyzmem? Zdaje się, że Irving tak właśnie myśli. Ten Anglik nienawidzi Churchilla, widząc w nim krwiożerczego tyrana, który nie tylko zaprzepaścił szansę zawarcia sojuszu Wielkiej Brytanii z III Rzeszą, to w dodatku zabił miliony cywilnych Niemców. Takie podejście do postaci Churchilla jest jeszcze jaśniej zarysowane w późniejszych książkach Irvinga. W omawianej niniejszym było to dopiero początek.

Powstaje w związku z tym pytanie – czy "Drezno – apokalipsa 1945" jest próbą rewizjonistycznego spojrzenia na II wojnę światową? Czy Irving daje oręż tym Niemcom, którzy twierdzą, że oni też, a może przede wszystkim, byli ofiarami wojny? Zapewne tak, tym niemniej w sferze czysto na-

ukowej książka Irvinga jest raczej trudna do podważenia. To, co można z nią zrobić – to już inna sprawa. **Sympatie i antypatie Irvinga są aż nadto widoczne – Niemcy rysują się w jego książce jako niewinne ofiary, co jest prawdą tylko częściową. W obrazie kreślonym przez Irvinga ginie gdzieś reżim hitlerowski, ginie kontekst tej wojny, ginie poczucie proporcji.** Sugestywność narracji, pasja autora i ogrom tragedii, jaką przedstawia – nie pozwalają na obojętność. Ale mimo wszystko książka ta powinna być pretekstem do krytycznego spojrzenia na politykę Adolfa Hitlera – tak naprawdę bowiem to on był winien tej apokalipsy.

David Irving, "Drezno – apokalipsa 1945", Wyd. Rachocki S-KA i L&L,

Pruszków- Gdańsk 2004, ss. 464

Myśl Polska Nr 1-2 (2-9.01.2005)

Niemieckie „przeminęło z wiatrem"

Ponad 11 milionów widzów obejrzało 4 i 5 marca film o losach Niemców uciekających zimą 1945 r. z Prus Wschodnich przed Armią Czerwoną. Oparty na historycznych faktach fabularny obraz pokazał pierwszy program niemieckiej telewizji publicznej ARD (Arte) po głównym wydaniu wiadomości. "To blisko jedna trzecia (29,5 proc.) całej niemieckiej telewizyjnej widowni, co oznacza, że film odniósł wielki sukces – powiedziała rzeczniczka ARD. "Die Flucht" ("Ucieczka") zdystansowała wszystkie pozostałe niedzielne programy.

Główną bohaterką filmu jest hrabianka **Lena von Mahlenberg (Maria Furtwangler)**, zarządzająca od lata 1944 r. majątkiem w Prusach Wschodnich. Sceny początkowe są niczym bajka – pastelowe kolory, piękne krajobrazy, wypieszczony pałac hrabiego **Bertholda von Mahlenberg (ojciec Leny)**.

Lato 1944, ostatnie lato Niemców w Prusach Wschodnich – ostatnie żniwa, ostatnie wykopki ziemniaków, ostatnie Boże Narodzenie. Nadciąga burza ze Wschodu – ten spokojny do tej pory zakątek Wielkiej Rzeszy, nie dotknięty nalotami, od stuleci niemiecki – dobiega swojego tragicznego końca. Już późną jesienią docierają do posiadłości Mahlenberg pierwsi uchodźcy – pobici, wynędzniali, poranieni, wśród nich wielokrotnie zgwałcona kobieta, która wkrótce umiera. Lena von Mahlenberg uświadamia sobie, że musi zorganizować ucieczkę przed zagładą. Tak zaczyna się epopeja, której kres nastąpi dopiero w kwietniu 1945 w Bawarii. To był koniec świata wschodniopruskiej arystokracji, koniec świata, który przetrwał prawie 600 lat.

Film jest bardzo sugestywny, kręcony na Litwie, oddaje ze szczegółami realia tamtego czasu. Co jest godne podkreślenia, jest to pierwszy niemiecki film historyczny, w którym żołnierze Armii Czerwonej pokazani są jednoznacznie jako pijana i żadną mordu tłuszcza. Ani w "Stalingradzie", ani w słynnym już "Upadku" reżyserzy nie zdecydowali się na taki zabieg. Żołnierze sowieccy pojawiają się tam incydentalnie, a kiedy już, to albo jako ofiary,

albo ich "dzikość" pokazana jest bardzo dyskretnie (jedna z ostatnich scen "Upadku'). W przypadku "Die Flucht" takiej ostrożności nie ma. Sowieci pojawiają się dwa razy – pierwszy, kiedy wpadają jak oszalali do pałacu hrabiego von Mahlenberg, zabijają kamerdynera i odkrywają zwłoki hrabiego, które nie chciał się ewakuować i wolał popełnić samobójstwo. Po raz drugi widzimy ich, kiedy gwałcą dwie starsze Niemki, które uznały, że nie ma sensu uciekać, bo jakoś to będzie. Żołnierze są pijani, niemal dzicy, a oficer w ogóle nie interweniuje, kiedy dochodzi do tych strasznych czynów. Na tym tle zresztą już doszło do małego zgrzytu w stosunkach niemiecko-rosyjskich. Maria Furtwangler w wywiadzie dla dziennika "Bild" powiedziała, że prezydent **Władimir Putin** powinien przeprosić za zbrodnie, jakich dopuściła się Armia Czerwona na niemieckich cywilach. Politycy natychmiast zdystansowali się od tej propozycji, twierdząc, że aktorka wyraża tylko swoje prywatne zdanie, ale czytały to miliony Niemców. Ba, nie tylko czytały, widziały te scenę na filmie, a jest ona, przyznać trzeba, bardzo drastyczna.

W tym miejscu stwierdzić należy, że autorzy filmu zadbali o to, by proporcje były zachowane – mamy więc i dobrego Rosjanina, Mikołaja, robotnika przymusowego w majątku, którego uwielbiają niemieckie dzieci, i który ostatecznie ginie podczas zimowej ucieczki. Skoro mowa o robotnikach, to jeden z nich, Francois Bauvais, Francuz, jest jednym z bohaterów filmu - kocha się w nim potajemnie Lena von Mahlenberg, a on sam, po nieudanej ucieczce, dołącza do konwoju uciekinierów niemieckich i przeżywa z nimi całą epopeję. Generalnie jednak film jest rozliczeniem się samych Niemców ze swoją historią. Mamy pokazaną całą gamę postaw – od fanatycznej wierności Hitlerowi, po dezercję, od poświęcenia po nihilizm. Jak było do przewidzenia ludzie z NSDAP i SS wypadają najgorzej – los zwykłych Niemców niewiele ich obchodzi, są aroganccy i źli. Wśród oficerów Wehrmachtu mamy dwie przeciwstawnie zarysowane postaci. Są to dwa bracia von Gerstorff – Heinrich i Ferdinand. Pierwszy to służbista, zakochany w Lenie, drugi jest wstrząśnięty tym, do czego doprowadziła wojna i Hitler, ucieka z frontu do domu i wobec groźby wydania popełnia samobójstwo. Ale prawdziwymi bo-

haterami filmu są tzw. zwykli Niemcy, głównie kobiety, dzieci i starcy. Oni są ofiarami tej wojny, ofiarami szaleństwa wodza III Rzeszy. I taki jest chyba wydźwięk tego obrazu.

Z punktu widzenia artystycznego film jest bardzo dobry – piękne zdjęcia (wspaniale oddana zimowa sceneria ucieczki w styczniu 1945), troska o scenografię, kostiumy, sugestywna gra aktorów. Niemcy wyspecjalizowali się w filmach o wojnie – po "Das Boot", "Stalingradzie", "Stauffenbergu", "Untergangu", "Sophie Scholl" i „Dresden" – teraz mamy "Die Flucht". Czy to przejaw historycznego rewizjonizmu? W Polsce filmu prawie nikt nie widział, ale pojawiły się komentarze. W opinii **Anny Wolff-Powęskiej** z Instytutu Zachodniego w Poznaniu film "Ucieczka" nie powiela stereotypów, a jego autorzy starali się zachować obiektywizm. Anna Wolff-Powęska obawia się, że część nieznających historii widzów, po obejrzeniu filmu, może wyrobić sobie czarno-biały wizerunek dobrego Niemca i przeganiającego go barbarzyńcy. Natomiast senator **Dorocie Arciszewskiej-Mielewczyk** film zdecydowanie się nie podoba. Założycielka Powiernictwa Polskiego powiedziała, że film wpisuje się w "łatwy do określenia trend" i – jej zdaniem – może odegrać rolę w manipulowaniu opinią społeczną w Niemczech, zwłaszcza w połączeniu z działaniami Związku Wypędzonych **Eriki Steinbach** i Powiernictwa Pruskiego. Wydaje się, że dyskusję na temat będzie można prowadzić, kiedy film wyświetli któraś z polskich stacji telewizyjnych. Film chyba się obroni, jestem tego pewien.

"Die Flucht" (Ucieczka), reżyseria Kai Wessel, ARD Arte (4 i 5 marca 2007)

„Myśl Polska" Nr 12 (25.03.2007)

Wrocław – kwiat Europy, czyli kwiat niemiecki

Jeśli ktoś śledził dyskusję, jaką rozpętał **Adam Michnik** na temat tzw. Centrum Wypędzonych we Wrocławiu, ten zapewne zastanawiał się nad tym, o co tak naprawdę chodzi. Myślę, że ten skoncentrowany atak propagandowy należy wiązać ściśle z ukazaniem się na rynku najnowszej książki **Normana Daviesa pt. "Mikrokosmos. Portret miasta środkowoeuropejskiego. Vratislavia-Breslau-Wrocław".** Książka ta napisana przez znanego i cenionego w Polsce historyka walijskiego – jest jednocześnie ideowym credo całego obozu "europejskiego" w Polsce. Kręgi skupione w Unii Wolności i innych ośrodkach liberalno-lewicowych od kilku lat nasiliły akcję "europeizacji" polskich kresów zachodnich. Przedmiotem ich szczególnego zainteresowania są dwa miasta – Szczecin i Wrocław. O Szczecinie piszemy często i regularnie na kolumnie "Pomorze". Wrocław wysunął się jednak ostatnio na plan pierwszy. Norman Davies jest bez wątpienia zdolnym historykiem, oddanym Polsce i jej dziejom. Można mówić nawet, że ma dla nas zasługi – chodzi o rozbijanie na Zachodzie mitu o ograniczonym zasięgu Europy (na zachód od Łaby). Davies odkrył dla czytelnika zachodniego fascynujący świat Europy Środkowej. Teraz jednak wpadł w pułapkę swoich związków z jednym tylko środowiskiem, środowiskiem krakowsko-warszawskiego salonu, środowiska "Gazety Wyborczej", środowiskiem dawnego KOR-u. Książka o dziejach Wrocławia jest książką pisaną na zamówienie tychże środowisk (jej pomysłodawcą jest były prezydent Wrocławia **Bogdan Zdrojewski**). Zamówienie brzmiało

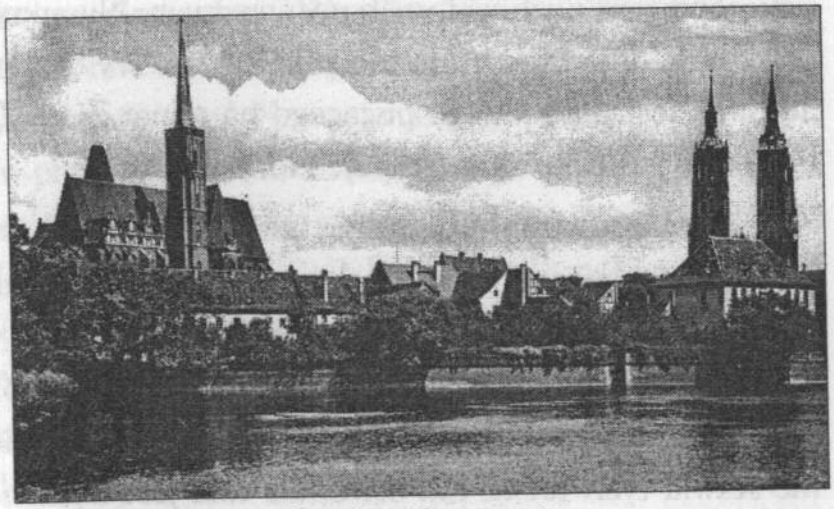

Breslau, Dominsel

– niech pan napisze "nową" historię miasta, daleką od wizji "nacjonalistycznej". No i Davies napisał. Książka miała być oczywiście w pełni "obiektywna", jednak już od pierwszej strony widać wyraźnie, że mamy tu do czynienia z książką na wskroś ideologiczną. Teza wyjściowa brzmiała – Wrocław jest miastem, które de facto nie ma historii, która mogłaby uzasadnić jego przynależność do jakiegoś konkretnego państwa, jest miastem kosmopolitycznym, "europejskim". Z pozoru jest to prawda, ale wiadomo także, że każda tego typu "prawda" ma czemuś służyć. Czemu ma służyć książka Daviesa? Rozbiciu mitu "polskiej szkoły autochtoniczno-nacjonalistycznej"? Tak. Uzmysłowieniu współczesnym mieszkańcom Wrocławia, że są w zasadzie wykorzenieni, nie mają tradycji i punktu oparcia? W pewnym sensie także tak. Bogdan Zdrojewski namawiając Daviesa, by napisał historię miasta uznał w ten sposób, że dotychczasowe wizje historii są przeznaczone na śmietnik. Chodzi tu przede wszystkim o szkołę narodową, która uzasadniała polskość Wrocławia racjami historycznymi. Przedstawicieli tej szkoły, których nota bene nie wymien ia z nazwiska, Davies ściśle łączy z komunistami, ale przecież to absurd. Komuniści przez wiele lat byli wrogami polskich rewindykacji na Zachodzie. Sytuacja zmieniła się dopiero po 1941 roku. Do tego czasu tacy wybitni historycy, jak **Zygmunt Wojciechowski, Karol Górski, Henryk Łowmiański** czy nieco później **Gerard Labuda** – stworzyli dzieła o niezaprzeczalnych walorach poznawczych. Nie ukrywali, że piszą z pozycji polskich, ale jednocześnie zachowali naukowy dystans. Lekceważenie tego dorobku jest dla każdego piszącego na temat Ziem Zachodnich dyskwalifikujące. A tak właśnie postępuje Norman Davies.

Polska Piastowska? To według autora mit. Nie da się ustalić przynależności etnicznej mieszkańców Śląska w wieku X i XI. Poza tym państwo Mieszka i Bolesława Chrobrego było czymś umownym, tak jak wszystkie państwa feudalne. Właściwie to nic nie wiemy, a prawdziwa historia zaczyna się dopiero od chwili, kiedy na Śląsk napłynęli niemieccy osadnicy (XIII wiek). Davies nie stawia tych tez aż tak ostro, ale taki jest wydźwięk jego wywodów. Na tym polega właśnie chytrość tej książki. Dobrze napisana, pełna mądrych i

wyważonych sądów – jednocześnie nie pozostawia u czytelnika wątpliwości, co o tym wszystkim ma myśleć. Zresztą sam początek książki jest jakże wymowny – zaczyna ją prolog opowiadający o losach Festung Breslau (luty-maj 1945). Opis jest dramatyczny, bo to był rzeczywiście dramat. Tylko, że takie rozpoczęcie narracji wywołuje określone skojarzenia – 1945 rok to punkt centralny dziejów Wrocławia. Takie jest też stanowisko "wypędzonych" – u nich też wszystko zaczyna się w 1945 roku. Być może autor nie miał takiego zamiaru, ale tak jakoś "dziwnie" wyszło. Przy tej okazji warto powiedzieć, że los niemieckiego Breslau wypada na kartach książki Daviesa znacznie bardziej dramatycznie i sentymentalnie niż historia polskiego Wrocławia.

Już samo porównanie opisu końca Breslau i losu jego mieszkańców z opisem początków polskiej władzy w 1945 budzi jednoznaczne skojarzenie – najazd Hunów! Davies w duchu boleje nad tym, że prawdziwy Breslau przestał istnieć, a na jego miejsce pojawił się brudny, zaniedbany i w sumie nędzny Wrocław. Co więcej, autor przekonuje, że Polacy w zasadzie nie chcieli Wrocławia, że wszystko wymyślili Sowieci. To nieprawda, w programach większości polskich partii politycznych okresu wojny był postulat "polskiego Wrocławia". Owszem, stanowisko rządu londyńskiego było inne, ale to nie oznacza, że "Polacy nie chcieli Wrocławia". Przypomina to słynne (i raczej niesławne) stwierdzenie premiera **Tomasza Arciszewskiego** z grudnia 1944 roku; **"Nie chcemy Szczecina i Wrocławia".** Odrodzenie "Kwiatu Europy", jak nazywa miasto nad Odrą, nastąpiło dopiero po 1989 roku, kiedy na nowo stara się być "europejskie". Narracja na temat okresu 1945-1989 jest mieszaniną obrazów prześladowania Niemców przez Polaków i ponurych opisów okresu stalinowskiego z informacją na temat Marca 1968 roku i dokonań chłopców z "Solidarności" (a najlepiej z KOR-u). Okres powojenny to "czarna dziura", kompletne dno, upadek i wegetacja. Miasto skończyło się, kiedy jeden z bohaterów książki, Niemiec, budzi się w pociągu towarowym, odjeżdżającym z Breslau: "Oddalaliśmy się od skazanego na śmierć Breslau – miasta, które utraciliśmy na zawsze". Jakże to sentymentalne i rozdzierające. Ale przecież to miasto odrodziło się właśnie po 1945 roku, a nie po

1989. Owszem, jego odbudowa postępowała wolniej niż zniszczonych miast niemieckich, ale to nie jest żaden argument. Wrocław powstał wysiłkiem setek tysięcy Polaków przybyłych z Kresów i Polski Centralnej. Ja sam jestem na poły Wrocławianiem, gdyż tylko z braku miejsca w szpitalu we Wrocławiu urodziłem się w jednej z miejscowości obok tego miasta. I wiem, kto i jak tam pracował. **To dwa pokolenia powojenne stworzyły polski Wrocław i lepiej by było, gdyby nikt nam tego nie odbierał.** Historię warto znać, także historię miasta, które przez długi czas było miastem niemieckim. Co innego jednak, kiedy za tym wszystkim kryje się polityczny zamysł, kiedy zamiast waloru poznawczego, mamy do czynienia z próbą przetrącenia narodowego kręgosłupa. A niestety, z czymś takim mamy do czynienia w przypadku omawianej książki. **Zbigniew Żmigrodzki** pisał w poprzednim numerze "NMP", jak to w tygodniku "Der Spiegel" napisano, że Wrocław jest miastem, które "poszukuje duszy", z czego wynika, że tej duszy nie ma. Davies daje odpowiedź na ten "problem" – Wrocław (Breslau) to "Kwiat Europy", ale to przede wszystkim kwiat niemiecki. Jeśli więc chcemy odzyskać jego duszę, to... No właśnie, co? Mając to na uwadze, mimo wszystko polecam tę książkę, bo jeśli odejmiemy przekaz ideologiczny, naprawdę warto ją przeczytać. I przemyśleć.

Norman Davies, Roger Moorhouse, **"Mikrokosmos.**
Portret miasta środkowoeuropejskiego. Vratislavia-Breslau-Wrocław", Wyd. ZNAK, Kraków 2002, ss. 599

Wysiedlenie Niemców z Czechosłowacji

Z punktu widzenia czysto ideologicznego **Edward Benesz** był typowym przedstawicielem opcji liberalnej, można nawet powiedzieć masońskiej. Wychowany w duchu tejże ideologii miał ambiwalentny stosunek do kwestii narodowej, podzielając stanowisko **Tomasza Masaryka**, że przyszłe państwo

czechosłowackie musi być "republika obywatelską". Z czasem musiał wszakże skorygować swoje poglądy na ten temat. Główną tego przyczyną była tzw. kwestia niemiecka.Budując po 1918 roku państwo czechosłowackie duet Masaryk-Benesz wychodził z założenia, że jego granice należy ustalić wedle kryteriów historycznych, a nie etnicznych. Gdyby bowiem oparto się na kryterium etnicznym, to nowe państwo pozbawione byłoby nie tylko swoich dawnych siedzib, ale i dużej części terytorium. Taką właśnie wizję udało im się przeforsować na konferencji pokojowej. Ceną była obecność w ich państwie aż 3,5 mln Niemców, którzy od samego początku kontestowali sam fakt istnienia czeskiej państwowości. Początkowo Niemcy próbowali bojkotu instytucji państwa czechosłowackiego, ale z czasem musieli zmienić taktykę i zaangażować się w życie polityczne Republiki. Nie było to zaangażowanie szczere, gdyż w odczuciu Benesza, i nie tylko Benesza, Niemcy tylko przeczekiwali i czyhali na okazję, by się od swojej nowej ojczyzny odłączyć. Z tego też względu Benesz sprzeciwiał się od samego początku postulatom nadania Niemcom autonomii, gdyż, jak słusznie sądził, byłby to tylko wstęp do oderwania dużej części terytorium Czechosłowacji i przyłączenia jej do Niemiec. Już w latach 20. Benesz był pesymistą. W rozmowie z jednym z francuskich dyplomatów powiedział: "**Nie mam żadnych iluzji co do tego, czego możemy oczekiwać od czechosłowackich Niemców w trudnych okolicznościach. W przypadku silnego zagrożenia zewnętrznego nie będą po naszej stronie**". Mimo to podejmował wysiłki, by pozyskać chociaż część Niemców Sudeckich do lojalnej współpracy z państwem. Uczynił bardzo dużo zwłaszcza w ciągu pierwszych dwóch lat swojej prezydentury (1935-1937). Zjeździł całe Pogranicze, agitował, przekonywał i obiecywał – na próżno. W tym czasie grały już zza zachodniej granicy werble **Adolfa Hitlera**, a partia **Konrada Henleina (Sudetendeutsche Partei)** miała poparcie 2/3 Niemców żyjących na Pograniczu. Są tacy, którzy twierdzą, że gdyby Benesz przyznał Niemcom autonomię, to być może uratowałby sytuację. Autor omawianej książki pisze na ten temat: "Przypuszczalnie po roku 1933 (a na pewno po 1935, gdy na Hradzie zasiadł Benesz) autonomiczny status Sudetów ułatwiłby jedynie

ich oderwanie od Czechosłowacji, gdyż aparat państwowy nie miałby realnych środków przeciwdziałania nazistowskiej irredencie (...) Odmawianie Niemcom Sudeckim autonomii nie było przejawem krótkowzroczności czechosłowackich polityków, lecz ich ostrożności".

15 września 1938 roku Henlein i jego najbliżsi towarzysze uciekli do Niemiec i wezwali swoich ziomków do powstania. Była to zdrada stanu, część obywateli państwa czechosłowackiego wypowiedziała mu posłuszeństwo. Wtedy dopiero, pod wpływem szoku monachijskiego, u Benesza zaczęła kiełkować myśl o konieczności wysiedlenia części Niemców. Niezmierne ważna była też ewolucja spojrzenia czeskiego prezydenta na przyszłość swojego państwa. Autor pisze: "Zdrada Henleina doprowadziła go do wniosku, że model wielonarodowego państwa obywatelskiego nie sprawdził się. Uświadomiła mu niemożność dalszego funkcjonowania Republiki, w której wbrew swojej woli żyłyby ponad trzy miliony Niemców. Ze spostrzeżenia tego można było wyciągnąć tylko jeden wniosek: aby uzdrowić państwo, należało istotnie zmniejszyć liczebność niemieckiej mniejszości, a co najmniej pozbyć się najbardziej radykalnych zwolenników Henleina". Benesz rozważał wówczas (tzw. piąty plan) oddanie części terytorium (4-6 tys. km kw.) i przesiedlenie do Niemiec 1,5 do 2 mln Niemców. Plan był nierealny, gdyż Hitler dążył nie do powiększenia Rzeszy o Pogranicze, ale do likwidacji Czechosłowacji jako państwa. Monachium i likwidacja państwa czechosłowackiego 15 marca 1939 roku otworzyły zupełnie nowy okres w historii. Czesi, zdradzeni przez swoich obywateli narodowości niemieckiej, zdradzeni przez Zachód i sąsiadów – zmienili swój stosunek do otaczającej ich rzeczywistości. Przeszli na pozycje bardziej narodowe, wrogie polityce niemieckiej, a także samym Niemcom jako takim. Pojawiła się chęć zemsty i rewanżu. Ale chodziło nie tylko o to, chodziło o przyszłość państwa. W przemówieniu radiowym w dniu 5 października 1938 roku Benesz powiedział: **"Nasze państwo miało dość szczególną strukturę narodowościową. Teraz stosunki te się dość zmienią. Zniknie szereg sporów z naszymi sąsiadami. Będziemy mieć państwo narodowe, w pewnym sensie zgodny z zasadą, która wyznacza kierunek rozwoju**

narodowego". Takie stanowisko było jak najbardziej usprawiedliwione, to Niemcy zmusili Benesza do rewizji swojego politycznego światopoglądu, do przejścia na pozycje jednoznacznie narodowe. Dzisiaj kręgi rewizjonistyczne w Austrii i w Niemczech zdają się tego nie rozumieć. Ba, nie rozumieli tego nawet ci Niemcy, którzy uciekli przed Hitlerem i zachowali lojalność wobec Republiki. Socjaldemokrata **Wenzl Jaksch**, który wraz z 1.200 swoich rodaków znalazł się w Anglii, nigdy nie dokonał dogłębnej analizy tego, co się stało. "Nigdy nie uznał oczywistego faktu, iż przytłaczająca większość jego rodaków opowiedziała się za Hitlerem. Słusznie nie poczuwał się do osobistej odpowiedzialności za Monachium, lecz nie chciał przyznać, że winę za dyktat i jego konsekwencje ponosiło co najmniej 2/3 Niemców sudeckich, którzy popierali Henleina. Błędnie przypuszczał, że po tym, co uczynili Niemcy (również w czasie wojny), możliwa będzie dalsza koegzystencja obu narodów w jednym państwie, jak gdyby nic się nie stało". Benesz próbował rokować z Jakschem, ale w 1941 roku uznał to za bezcelowe.

W roku 1943 plan całkowitego wysiedlenia Niemców był gotowy. Benesz postarał się tylko o poparcie tej idei wśród państw sprzymierzonych i uzyskał je, najpierw od Moskwy, potem od Londynu i Waszyngtonu. Było to stanowisko logiczne i jedynie możliwe. Tego zdania jest także autor książki: "Nie podejmuję się określić, czy wysiedlenie stanowiło stosowną karę za postawę Niemców w latach 1938-1945, a jeżeli tak, to kto na to zasłużył: czy wyłącznie osoby bezpośrednio skompromitowane kolaboracją z nazizmem, czy też wszyscy, którzy zdradzili Republikę (...) Sadzę jednak, iż po doświadczeniach II wojny światowej dalsze współistnienie narodów czeskiego i niemieckiego w jednym państwie okazałoby się niemożliwe". Benesz pisał tuż po wojnie, że po latach, kiedy rany się zagoją, Niemcy i Czesi znów będą mogli "spotkać się jako sąsiedzi i żyć oddzielnie w pokoju i bez goryczy, jeden obok drugiego, każdy w swym nowym domu". Okazuje się, że po upływie prawie 60 lat wielu Niemców wcale tego nie chce.

Piotr M. Majewski, "Edward Benesz i kwestia niemiecka w Czechach", Wyd. DiG, Warszawa 2001, ss. 360

Część III - O PRL inaczej

Historia bez happy endu

Prof. Paweł Wieczorkiewicz jest ostatnio bardzo częstym gościem telewizyjnych programów, dużo też publikuje. Mimo to nie zaliczany jest do grupy tzw. historyków miarodajnych, chyba z racji "kontrowersyjności" niektórych poglądów. We wstępie do prezentowanego zarysu historii Polski pisze: "Polska posierpniowa także nie potrafiła napisać historii wojny. Zadowolono się raczej przyswojeniem osiągnięć ośrodków emigracyjnych, poszerzając prowadzone tam badania. W obiegu popularnym szerzy się zatem opcja hagiograficzna. Mnożą się polskie zwycięstwa w tzw. kampanii wrześniowej, omal nie decydujące, na kartach rozpraw warszawscy powstańcy, a wcześniej Armia Krajowa, zadają Niemcom klęskę za klęską, a żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie rozstrzygają w sposób decydujący kolejne kampanie sprzymierzonych". Niezły początek – można rzecz.

Lektura całości tylko częściowo satysfakcjonuje. Autor bowiem prezentuje wizję katastroficzną w miejsce hurra-optymistyczno-hagiograficznej. Nie wystarczy bowiem nazwać po imieniu klęski wrześniowej, dać prawdziwy obraz katastrofy Powstania Warszawskiego czy zdemitologizować Monte Cassino. Nad całym wywodem unosi się bowiem niebezpieczna tendencja do czarnowidztwa i to w "dobrym" emigracyjnym stylu. Autor bowiem, wbrew deklaracjom, mieści się w tym samym obozie co krytykowani przez niego historycy i publicyści. Różnica jest tylko jedna – on nie wmawia sobie i innym, że Powstanie Warszawskie było genialnym posunięciem wojskowym i politycznym. To za mało. Kiedy bowiem czytamy o "zbrodni Teheranu i Jałty", albo o utracie "rdzenie polskich ziem – Lwowa i Wileńszczyzny", o wielkiej klęsce poniesionej w 1945 roku na równi z Niemcami i Japonią! – to, przyznajmy to szczerze, człowiek powątpiewa w historyczny zmysł autora, znanego do niedawna jako jednego z bardziej realistycznych. Teoretycznie

autor ma rację – pisze o utracie niepodległości, ziem wschodnich, klęsce itp. Sprawa nie jest jednak tak klarowna, by przy jej ocenie używać języka z pism propagandowych tamtego okresu. Historyk z głębią spojrzenia musi widzieć sprawy szerzej, musi nauczyć naród rozumienia historii, godzenia się na jej wyroki, jeśli są nieubłagane. A w przypadku Polski w latach 1939-1945 pewne rzeczy były nieuchronne, niektóre z korzyścią dla nas, niektóre nie. Jeśli pisze się o utracie "rdzennych ziem" na Wschodzie i nic o Ziemiach Zachodnich – to jest to tendencyjne. Polska po 1989 roku jest Polską zrodzoną w Jałcie i Poczdamie, a nie Polską Piłsudskiego, to Polska w granicach piastowskich a nie jagiellońskich. Historia to ciąg zdarzeń, które układają się nie zawsze tak, jak narody by chciały, mądrość narodu polega na tym, by w dłuższym przedziale czasowym obracać niepowodzenia na swoją korzyść. **Wieszanie psów na latach 1945-1989 jest bezpłodne intelektualnie – dochodzi do tego, że Polska z tych lat jest czymś gorszym niż zabory pruski i austriacki w okresie niewoli. To aberracja – a u źródeł tej aberracji leży mitologizowanie haseł tzw. obozu niepodległościowego.**

Na koniec warto zwrócić uwagę, że omawiania książka, wbrew zapowiedziom, nie jest przełomem, choć wyróżnia się na tle innych ujęciem tzw. kwestii kontrowersyjnych. Np. omawiając ludobójstwo dokonane przez UPA autor nie poddaje się panującej obecnie modzie na jego relatywizowanie, nie waha się korzystać z dorobku **dr. Wiktora Poliszczuka czy Edwarda Prusa**. Ciepło pisze też o obozie narodowym. To zalety, o których trzeba wspomnieć.

Paweł Wieczorkiewicz, **"Historia polityczna Polski 1939-1945"**, Książka i Wiedza, Warsza wa 2005, ss. 563

Myśl Polska Nr 31-32 (31.07-7.08.2005)

Prawica i PRL

Tadeusz Matuszkiewicz napisał, że prawica w Polsce musi odzyskać suwerenność myślenia, bo w tej chwili jej nie ma – przynajmniej chodzi tu o dużą część środowiska, która stała się dodatkiem do ruchu postsolidarnościowego. Paradoksalnie widać to najbardziej jaskrawo w podejściu do najnowszej historii, a mówiąc bardziej precyzyjnie w stosunku do PRL. To bardzo charakterystyczne, że w czołówce "rozliczaczy" PRL stoją tacy politycy, jak **Marek Jurek czy Kazimierz M. Ujazdowski,** starający się przebić w radykalizmie ludzi lewicy solidarnościowej. Swego czasu Marek Jurek stwierdził, że bliżej mu do postawy premiera rządu londyńskiego, PPS-owca, **Tomasza Arciszewskiego**, niż endeka **Stanisława Grabskiego**, który wrócił w 1945 roku do Polski i wszedł w skład Krajowej Rady Narodowej jako jej wiceprzewodniczący. Ta deklaracja ma charakter ideowy – jest przyjęciem postawy z gruntu obcej nurtowi konserwatywnemu i narodowemu.

Dmowski pisał, że do historii trzeba podchodzić organicznie, mamy w naszej historii karty białe i czarne, ale za całą historię bierzemy odpowiedzialność, nie wyrzekamy się żadnego jej fragmentu, dlatego że życie narodu ma swoją ciągłość. Ponadto Dmowski nie znosił martyrologizmu, uważał, że naród biczujący się wciąż wspomnieniem klęsk i ofiar jest chory. Dzisiaj te zjawiska, o których mówił przywódca Narodowej Demokracji, mamy w postaci swego rodzaju ideologii państwowej. Insurekcjonizm, rewolucyjne "odcinanie" się do okresu PRL, martyrologizacja patriotyzmu – to zjawiska powszechne. **Ich źródło nie jest nowe – wywodzi się w linii prostej od XIX-wiecznego radykalizmu powstańczego, przejętego potem przez PPS i piłsudczyków.** Cechą charakterystyczną tego nurtu było przedkładanie swoiście pojętego honoru ponad własną Ojczyznę. Już **Adam Mickiewicz** pisał o tym, że Warszawa w 1831 roku powinna raczej obrócić się w gruzy niż skapitulować przed Rosją. Sam jednak w tym czasie przebywał zagranicą. Potem **Maurycy Mochnacki** lansował tezę, że Królestwo Kongresowe nie może odnieść sukcesu, bo to oddala konfrontację z Rosją, na którą jesteśmy

skazani. Rosja stała się prawdziwą obsesją nurtu powstańczego, ludzie tej orientacji nie wahali się przechodzić na islam byle mieć możliwość walki z Moskwą (w tym przypadku po stronie Turcji).

Ciekawe jest to, że w naszej świadomości historycznej nurt ten uznawany jest za dominujący, jest swego rodzajem wyznacznikiem polskiej tradycji. Któż w Polsce wie, że w czasie walk rosyjsko-czeczeńskich w II poł. XIX wieku w szeregach armii rosyjskiej służyły tysiące Polaków i bynajmniej nie sympatyzowali oni z kaukaskimi góralami. Pamiętniki polskich oficerów armii rosyjskiej świadczą, że uważali oni, iż niosą na Kaukaz cywilizację. A udział kilkudziesięciu tysięcy Polaków w wyzwalaniu spod okupacji tureckiej Bułgarii? Któż o tym wie? Albo któż wie, że ok. 20.000 Polaków w 1812 roku walczyło przeciwko Napoleonowi (w ramach armii rosyjskiej) i to bynajmniej nie z musu. Mickiewicz całkowicie zafałszował historię pisząc "Pana Tadeusza", szlachta na Litwie była nastawiona całkowicie prorosyjsko i antynapoleońsko.

Insurekcjonizm i "choroba na Moskala" przeszedł w XX wieku metamorfozę splatając się z socjalizmem. W ramach PPS tradycyjna polityka powstańcza znalazła sojusznika w postaci marksizmu – wróg był ten sam – „carat". Polityka Narodowej Demokracji skutecznie zneutralizowała znaczenie tej nowej odmiany politycznego szaleństwa – Dmowski odniósł niewątpliwy, acz chwilowy, triumf. Dotyczy to przede wszystkim roku 1905 i 1914, kiedy skutecznie sparaliżował antyrosyjskie plany PPS. Zapobiegło to nowym tragediom i pozwoliło sprawie polskiej wyjść z zaklętego kręgu przegranych powstań. Jednak obóz insurekcji szybko się odrodził, a jego największym "osiągnięciem" była tragedia Powstania Warszawskiego. Narodziny PRL stały się nowym wyzwaniem. Prawica konserwatywna miała w tym momencie dziejowym nie lada problem – nowa Polska była rządzona przez komunistów, a więc od strony ideowej była nie do przyjęcia. Jednak alternatywą dla niej była 17. republika sowiecka. Dlatego też spora część środowisk prawicowych (narodowych i konserwatywnych) było skłonne poprzeć tę formę państwa polskiego, jakie budowano po 1945 roku. Jedni robili to

podbudowując koncepcją ideową (**Bolesław Piasecki** z ideą "przezwyciężenia zwycięzcy") lub czysto pragmatyczną (**Aleksander Bocheński, Stefan Kisielewski**). Jeszcze inni za decydujące uznali objęcie przez Polskę ziem zachodnich, ze Szczecinem i Wrocławiem, upatrując w tym dziejowej szansy Polski (**Zygmunt Wojciechowski** i środowisko "Ojczyzny").

Po 1956 roku PRL za państwo polskie uznało jeszcze więcej środowisk niż tuż po 1945. Pojawiły się nawet opinie (w środowiskach kombatanckich, a nawet NSZ-owskich), że "odzyskaliśmy niepodległość". W 1957 roku obchody rocznicy Powstania Warszawskiego były wielką manifestacją patriotyczną, bynajmniej nie wymierzoną w PRL. To bardzo charakterystyczne, że motorem tzw. przełomu październikowego byli robotnicy i działacze PZPR – udział ludzi II RP w tym przełomie był raczej bierny, akceptowano przemiany, ale nie angażowano się czynnie, by czasem nie sprowokować konfliktu grożącego np. kolejnym powstaniem. **Środowisko poakowskie w latach 60. dosyć masowo angażowało się w prace ZBoWiD-u.** Oblicza się, że do organizacji wstąpiło kilkadziesiąt tysięcy ludzi z AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Tylko w latach 1965-1968 prawa kombatancie otrzymało 108 tys. ludzi. Jeśli uświadomimy sobie, że ludzie z Armii Ludowej i Wojska Polskiego walczącego na Wschodzie takie prawa mieli już wcześniej, to jasne jest, że w latach 60. dotyczyło to akowców i żołnierzy PSZ na Zachodzie. Wstępując do ZBoWiD-u ludzie z AK nie robili tego tylko po to, by dostać prawa kombatanckie, wielu akceptowało kierunek przemian, tym bardziej, że zmierzało to do odsunięcia od wpływu ludzi z Komunistycznej Partii Polski. W tym samym czasie Prymas **Stefan Wyszyński** nakazywał, by w kościołach nie śpiewać "**Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie**", **tylko "pobłogosław Panie"**. Po 1956 roku do Polski wrócili tacy ludzie jak **Stanisław Cat-Mackiewicz czy Zofia Kossak-Szczucka**, by wymienić tylko ich. Skala powrotów była znacznie większa. Państwo stopniowo traciło ideologiczną ortodoksję, zachowując oczywiście fasadę marksistowską, ale w coraz większym stopniu ewoluując w kierunku nacjonalistycznym (czy jak kto woli narodowym). Nawet konfrontacja z Kościołem w roku 1966 miała dla

tej ewolucji zbawienne skutki – państwo starało się przelicytować Kościół w patriotyzmie, sięgając do tradycji Mieszka i Chrobrego. Nic więc dziwnego, że prawdziwi komuniści i marksiści patrzyli na to z przerażeniem. Wybrali oni dwie drogi – **Kazimierz Mijal** oskarżył władze na czele z **Władysławem Gomułką** o zejście na drogę "burżuazyjną" i założył KPP (po czym uciekł do Albanii), inni ortodoksyjni marksiści przeszli do opozycji (**Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Adam Michnik**) wybierając trockizm jako sojusznika w walce z "nacjonalistycznym państwem".

Piszę o tym tak obszernie, by można było sobie uzmysłowić złożoność problemu. Dzisiaj łatwo operować frazesami, używać terminów "sowiecka okupacja", "państwo totalitarne", "ponure czasy PRL-u", "komunistyczna dyktatura", "zbrodnia stanu wojennego" itp. Nie oddaje to jednak w żaden sposób ówczesnej rzeczywistości, zakłamuje ją. Ludzie prawicy tego robić nie powinni, bo jest to sprzeczne z ich postrzeganiem dziejów. Dlatego przypomnę dzisiaj jednego z nich, zapominanego i przemilczanego – **Mirosława Dzielskiego (1941-1989).** Nie był to konserwatysta popierający PRL, był działaczem opozycji, ale dzisiaj jego wywody są pewnie nie w smak takim rewolucyjnym prawicowcom, jak Ujazdowski czy Jurek.

W swoich artykułach Dzielski używał często sprzecznych terminów. Pisał o "twórczym antykomunizmie", ale w kluczowym tekście "Duch nadchodzącego czasu" rozprawił się z mitem o "totalizmie w PRL". Pisał: "Myślę, że radykalna opozycja może być zainteresowana w upowszechnianiu obrazu reżimu jako reżimu totalitarnego ze względu na powszechne przekonanie, że totalizm równoznaczny jest z rządami diabła na ziemi. Walka z diabłem przydaje krucjacie antyreżimowej nadziemskiego blasku wojny religijnej. Sądzę ponadto, że socjaliści mają dodatkowy propagandowy powód do mówienia o totalizmie w PRL; zależy im na tym, aby odróżniać własny (demokratyczny) socjalizm od obowiązującego w PRL". **Zauważmy, że Dzielski upatruje w lewicy solidarnościowej źródła demonizowania PRL, i tak rzeczywiście było – tym środowiskiem był wtedy KOR. Potem jednak ludzie KOR przeszli na pozycje porozumienia z władzą (1989), a demo-**

nizować PRL zaczęła "prawica".

Skoro państwo nie jest totalitarne, to można się z nim dogadać. Dzielski za wroga nie uznawał samego państwa, a nawet aparatu przemocy, lecz tylko ideologię marksistowską. Ludzie tworzący państwo nie są naszymi wrogami, bo to są oportuniści, jeśli porzucą ideologię, możemy się z nimi dogadać, także z policją polityczną. Nie znosił obsesyjnego antykomunizmu, reprezentowanego przez część emigracji. Tak pisał o **Jerzym Giedroyciu**: "Giedroyc zamieszcza od czasu do czasu w swoim organie dziwne westchnienia w rodzaju, że niech zginie raczej połowa ludzkości, byle komunizm zniknął przynajmniej na jakiś czas z powierzchni ziemi. Pierwsze wrażenie, jakiego doznałem czytając tego rodzaju sentencje, było fizjologiczne: odczuwałem ze strachu mrowie w górnej części kręgosłupa (...)

Później zdałem sobie sprawę, że przecież tego rodzaju postawienie sprawy nie musi oznaczać w praktyce wojny globalnej, ale właśnie np. afganistanizację Polski. I miałem z kolei ochotę zapytać zasłużonego starca z Paryża: o którą połowę chodzi panu, mości książę - o tę, co mieszka nad Wisłą, czy o tę, która wygodnie żyje sobie w Paryżu?". Dzielski obawiał się używania Polski jako "mięsa armatniego" przez politykę amerykańską: "Z amerykańskiego punktu widzenia byłoby zapewne korzystne, gdyby w Polsce powstało coś w rodzaju Afganistanu na małą skalę. Antykomunistyczna partyzantka miejska czy jakiegoś rodzaju terroryzm antyreżimowy spowodowałby osłabienie Polski jako ogniwa Paktu Warszawskiego (...) Nie sądzę, aby afganistanizacja Polski leżała w interesie polskiego antykomunizmu". Ba, pisał, że trzeba stawiać na przemianę Rosji w kierunku chrześcijańskim i upatrywać w niej sojusznika, jako przeciwwagi dla Niemiec. Wyjścia są bowiem dwa – albo sojusz niemiecko-rosyjski, albo polsko-rosyjski. W 1985 roku powiedział: "Amerykanie starają się, aby Polacy realizowali ich cele, stwarzając Moskwie kłopoty. Naszym celem jednak nie jest osłabianie Rosji, ale jej powrót wraz z dominiami na łono cywilizacji. Dlatego uważamy, że Polska powinna być gotowa do aktywnego stanięcia po stronie Rosji, gdy uzna, że jej się to opłaca". Więcej: "Uważam, że polityka zagraniczna rządu PRL jest w zasadzie

prawidłowa. Rząd ten szkodzi nam z powodu systemu, którego broni, nie zaś z powodu swojej opcji prorosyjskiej, dla której nie ma alternatywy". Porównajmy to z tym, co dzisiaj się mówi na ten temat – przepaść. **Gdyby Dzielski żył, uznałoby go pewnie za kolaboranta, a był to wybitny myśliciel prawicy.**

Tak, prawica musi odzyskać suwerenność ideową, a nie oportunistycznie wlec się ogonie spadkobierców PPS. Kolejne odsłony "dekomunizacyjne" i "lustracyjne" są dowodem na to, że w sensie intelektualnym prawicy nie ma - jej ludzie płyną razem z rewolucyjną falą, ba, starają się nawet ją wyprzedzać. Obserwując to zjawisko nie sposób ukryć niesmaku i zażenowania, lepiej już byłoby milczeć, jeśli nie ma się odwagi na własny głos.

Cytaty pochodzą z książki Mirosława Dzielskiego **"Odrodzenie ducha – budowa wolności.**
Pisma zebrane", Wyd. ZNAK, Kraków 1995, ss. 882
Myśl Polska Nr 6 (11.02.2007)

Preludium Marca 1968

19 grudnia 1961 roku w Warszawie z okna domu przy ulicy Nowotki 10 wyskoczył **Henryk Holland**, działacz komunistyczny jeszcze sprzed wojny, ojciec znanej reżyserki **Agnieszki Holland**. Skoku nie przeżył. Jego pogrzeb był demonstracją polityczną tzw. grupy puławskiej skupiającej zwolenników „reform" po 1956 roku, a w rzeczywistości grupę dawnych stalinowców, którzy za wszelką cenę chcieli utrzymać się przy władzy. Początkowo stawiali na **Władysława Gomułkę**, ale srogo się zawiedli.

Od samego początku zwolennicy Hollanda, jak również większość dzisiejszych historyków twierdzili, że Hollanda zabito, albo wyrzucając go żywego przez okno, albo wyrzucając zwłoki. W świetle dokumentacji zgromadzonej

w archiwach IPN, które wykorzystał autor książki o sprawie Hollanda – nie jest to prawda. Holland w trakcie przeszukania jego mieszkania przez funkcjonariuszy MSW wykorzystał moment nieuwagi jednego z nich i skoczył przez okno. Wersja ta nie podlega dyskusji, zachowały się bowiem nagrania rozmów w mieszkaniu Hollanda oraz inne świadectwa wykluczające wątek zabójstwa politycznego. O wiele ciekawszy jest kontekst polityczny tej sprawy, pokazuje ona bowiem narastanie napięcia wewnątrz PZPR, której kulminacją będzie Marzec 1968.

Henryka Hollanda aresztowano dlatego, że był autorem przecieku do prasy zachodniej o wypowiedziach **Nikity Chruszczowa** na temat okoliczności śmierci Stalina i Berii. Nie był to pierwszy przeciek dotyczący życia politycznego w ZSRR i Polsce. Grupa puławska od 1956 roku znalazła sobie bardzo wygodny mechanizm uczestnictwa w grze politycznej – przecieki do prasy zachodniej. W ten sposób rozgrywano wiele spraw, dyskredytowano przeciwników, wpływano na bieg wypadków. To ciekawe, ale metody takie będzie potem notorycznie stosował KOR, ale to nie dziwi zważywszy, że personalnie wywodził się ze środowiska puławian. Ścisłe kontakty puławian z korespondentami zachodnimi budziły coraz większą irytację Gomułki i oczywiście MSW. Stopniowe wypieranie dawnych stalinowców pochodzenia żydowskiego z aparatu bezpieczeństwa wzmacniało tę tendencję. Puławian poddano szczegółowej inwigilacji, fotografowano ich podczas spotkań, nagrywano ich rozmowy. To zdumiewające, że stare stalinowsko-bermanowskie lisy nie zdawały sobie z tego sprawy, że każdy ich krok jest znany MSW. Początkowo mogli być spokojni, bo ich zwolennicy utrzymywali się we władzach bezpieczeństwa, ale nie zauważyli, że nie mieli już wiele do powiedzenia, a czasem nie chcieli „kryć" swoich kolegów z sitwy. Tymczasem taka **Edda Werfel**, żona **Romana Werfla** – nadawała ile wlezie korespondentce „New York Timesa" **Florze Lewis**, mówiąc jej co koniecznie musi napisać w przygotowywanej przez nią książce. Nalegała np., by pisała o sklepach „za firankami" oraz o tym, że antysemickie impulsy idą z Moskwy. Holland także nie był wcale ostrożny, miał swobodę wyjazdów zagranicznych, nawiązywał liczne kontak-

ty, nawet z paryską „Kulturą". Np. **Juliuszowi Mieroszewskiemu** mówił, że **Gomułka jest „bardziej polskim nacjonalistą niż komunistą" i „bredzi na tematy komunistyczne". Poza tym „nienawidzi Rosji"**. Wskazuje to jakie opinie panowały w kręgach puławian – byli coraz bardziej zaniepokojeni nie tym, że „odchodzi się od Października", jak z uporem powtarzają wszyscy historycy i publicyści, ale dlatego, że to „odchodzenie" dokonywane jest w kierunku „nacjonalistycznym". Puławska sitwa była z przekonania marksistowska, chciała nadal budować socjalizm marksistowski, destalinizację pojmowała jako koniec represji w stosunku do aparatu partyjnego.

Autor książki pisze o tym, że „kręgi zbliżone do puławian były bardzo silnie wyczulone na naruszanie praworządności, a ściślej stalinowskie represje wobec członków partii". Otóż to, gdyby aparat bezpieczeństwa skierował swoją uwagę gdzie indziej (np. na tzw. reakcję), puławianie nie mieliby nic przeciwko temu, ale kiedy interesował się nimi, to już było „odchodzenie od Października". Przedstawianie dzisiaj tej grupy jako ofiar systemu, czy nawet zaczątków opozycji antykomunistycznej jest jedną z największych mistyfikacji historycznych. Grupa była coraz bardziej bezradna wobec „pełzającej" destalinizacji aparatu partii i bezpieczeństwa dokonywanej przez ludzi **Mieczysława Moczara**. Ponieważ zaś dotyczyło to w ogromnej mierze działaczy pochodzenia żydowskiego, budziło to coraz większe emocje w tej grupie, podejrzewała ona bowiem, że tłem tej akcji jest „antysemityzm". Według autora udział w pogrzebie Hollanda grupy 250 działaczy był ostatnim publicznym wystąpieniem puławian. Nie oznacza to, że grupa przestała istnieć – większość jej nieformalnych członków tkwiła nadal na wysokich stanowiskach partyjnych i państwowych. W Biurze Politycznym zasiadał jeszcze **Roman Zambrowski i Edward Ochab, Artur Starewicz** nadal odpowiadał za prasę. Solidarność tej grupy była osłabiona, bo jej czołowi przedstawiciele nie wiedzieli, czy ich pozycja jest już przegrana, czy też nie – dlatego nie zawsze popierali zbyt radykalne działania innych. Na początku lat 60. mieli jeszcze zbyt dużo atutów, by ryzykować konfrontację. W sprawie Hollanda byli wstrząśnięci, ale skończyło się tylko na niezadowo-

leniu podczas posiedzeń KC i Biura Politycznego – krytykowano Gomułkę za to, że pozwolił aresztować dziennikarza przez MSW, zamiast osądzić jego sprawę przed organami partii.

Z punktu widzenia ogólopolitycznego sprawa Hollanda była – według autora – początkiem tendencji „wypierania przez moczarowców ludzi żydowskiego pochodzenia z eksponowanych stanowisk, której kulminacją był Marzec 1968 r.". W MSW, które znało wszystkie kulisy różnych spraw związanych z działalnością „towarzyszy pochodzenia żydowskiego" (chodziło o dosyć liczne akty zdrady, ucieczek do Izraela i przechodzenia na współpracę z wywiadami państw zachodnich) – zaczynało pojawiać się przekonanie, że grupa ta stanowi potencjalne zagrożenie, przejawiając skłonność do traktowania PRL jako nie swojego państwa. Moczar podsycał to przekonanie u Gomułki, ale dopiero na jesieni 1967 roku, kiedy faktem były liczne przykłady fetowania przez członków PZPR żydowskiego pochodzenia zwycięstw Izraela w wojnie sześciodniowej – uznał, że czas z tym skończyć.

Gomułka nie był „antysemitą", ale był szczególnie wyczulony na kwestię lojalności wobec państwa, także w odniesieniu do stosunków z Moskwą. W 1961 roku nie uznał, by przypadek Hollanda był podstawą do jakiejś większej czystki, w 1967 już tak. Holland zdenerwował go gadulstwem i brakiem odpowiedzialności – komuniści w wielu krajach zarzucali Gomułce, że wszystkie poważniejsze „przecieki" mają miejsce w Warszawie (tak zresztą było). Gomułka postanowił przerwać tę zabawę, aresztowanie Hollanda miało być ostrzeżeniem dla innych. Gdyby nie popełnił on samobójstwa, pewnie zostałby szybko wypuszczony albo skazany symbolicznie, tak się jednak złożyło, że Holland był osobowością skomplikowaną, skłonną do zachowań nieobliczalnych. Już w latach 1946-1947 nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa, był mało odporny na stres, szybko się załamywał. Sam fakt aresztowania pogłębił w nim frustrację, chociaż funkcjonariusze MSW obchodzili się z nim jak z jajkiem. Swoim samobójczym skokiem sprawił wiele kłopotu Gomułce, od razu zaczęto rozsiewać plotki, że był w śledztwie bity, no i że został zamordowany. Dzisiaj jednak nie trafił do panteonu „ofiar ko-

munizmu", bo byłoby to już za duże „przegięcie", choć w niektórych środowiskach pewnie za takiego uchodzi.

Krzysztof Persak, **„Sprawa Henryka Hollanda"**, IPN-PAN, Warszawa 2006, ss. 405
„Myśl Polska", nr 16-17/2007

Prawda – towar deficytowy

Lech Mażewski porusza w swojej publicystyce historycznej kwestie najbardziej doniosłe, także te, które są przedmiotem niekończących się dyskusji. Mimo to jest nieobecny, w mediach, w prasie, na forum publicznym. Ton polskiej dyskusji nadają, tak jak w czasach PRL, historycy dworscy, którzy pilnie strzegą, by na horyzoncie nie pojawił się nikt, kto ma inne od nich zdanie. Do grona jedynych depozytariuszy prawdy historycznej pretendują: **Antoni Dudek, Wojciech Roszkowski, Andrzej Paczkowski** czy amator w tym gronie **Leon Kieres**. Sęk w tym, że historycy ci tak naprawdę nie są historykami, lecz propagandzistami działającymi na rzecz nowej nomenklatury postsolidarnościowej. Antoni Dudek był kiedyś dobrze zapowiadającym się historykiem, teraz, jak mówi się "na mieście", stał się poprawnym politycznie publicystą.

Ludzie narzucający polskiej opinii interpretację najnowszej historii Polski mają praktycznie 100-procentowe wsparcie mediów elektronicznych, które dbają o to, by nikt inny nie zmącił dogmatycznie zinterpretowanej wersji dziejów. Na czym polega ta zmitologizowana wersja historii? Po pierwsze, jest to kult przegranych zrywów, z powstaniem warszawskim 1944 na czele. Jeśli słuchało się wywodów Wojciecha Roszkowskiego czy Normana Daviesa

podczas obchodów 60. rocznicy powstania, to mówiono o wszystkim, tylko nie o odpowiedzialności kierownictwa AK i Polskiego Państwa Podziemnego. Drugi dogmat, to czarna wizja historii PRL, widziana wyłącznie przez okulary UB, SB i tajnych współpracowników. **Teczkomania doszła do tego, że żaden z historyków obozu establishmentowego nie jest w stanie pisać o historii bez odwołania się do zawartości archiwów SB.** W ten sposób sprowadza się dyskurs historyczny do bardzo niskiego poziomu, na zasadzie – kto był, a kto nie był TW. Wreszcie trzeci fundament tej pseudohistorii a la III RP, to wręcz bałwochwalcze mitologizowanie Solidarności. Przypomina to do złudzenia mitologizowanie PPR i PZPR przez historyków PRL-owskich z pierwszych lat po 1945 roku. Żadnej poważnej próby analizy dziejów Solidarności, zamiast tego propagandowy jazgot przeciwko "komunie" i wylewanie krokodylich łez nad losem "ludzi opozycji demokratycznej" W tym przypadku nie możemy mówić nawet o namiastce badań historycznych gdyż nad "właściwą" pracą np. IPN-u czuwa quasi Biuro Polityczne, jakim jest tzw. Kolegium IPN, zdominowane przez styropianowych historyków, powiązanych lub sympatyzujących z Unią Wolności. Żałośnie wygląda dyskusja (a właściwie monolog) prowadzona np. na temat stanu wojennego – historycy z IPN (np. Dudek) wymachują przed kamerami jakimiś dokumentami, które ujawnił (ciekawe jakim cudem?) **Władimir Bukowski**, sowiecki dysydent, który udowadnia, że Moskwa w roku 1981 absolutnie nie miała zamiaru interweniować zbrojnie. **Każdy poważny historyk wie, że Moskwa ujawniła to, co chciała ujawnić, a rola Bukowskiego w tym procederze jest co najmniej zastanawiająca.** Jeśli Anglicy po dziś dzień nie ujawnili wszystkich dokumentów związanych ze śmiercią **gen. Władysława Sikorskiego**, to jak można mówić o tym, że dysponujemy niepodważalnymi dowodami na to, że w 1981 ZSRR "odpuścił" Polskę? A mimo to ponoć poważni historycy z IPN mówią o tym z pełnym (przynajmniej na pokaz) przekonaniem.

Na tle tej ogłupiającej pseudohistorii publicystka Lecha Mażewskiego jest niczym odświeżający balsam. Zebrana w tomie "Sinusoida niepodległości" publicystyka z ostatnich lat (w dużej mierze z "Myśli Polskiej") jest najpo-

ważniejszym głosem na temat naszej najnowszej historii, włącznie z czasami schyłku PRL. Autor jest znany naszym czytelnikom, więc nie ma potrzeby dokładnego relacjonowania tego, co pisze. Dodam tylko, że książka składa się z trzech części – w pierwszej mamy artykuły poświęcone historii PRL, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką odegrał w polskiej historii **Władysław Gomułka,** którego autor uważa za postać, która wywalczyła dla Polski maksymalny, jaki było to możliwe, poziom suwerenności i dlatego stała się ofiarą intrygi, mającej na celu jego eliminację. Z kolei czasy Edwarda Gierka były dalszym ciągiem odchodzenia przez PZPR od marksistowskich dogmatów, aż do czasów Solidarności. Gdyby nie ta ewolucja systemu, nie byłoby szans na powstanie Solidarności, która zresztą w pewnym momencie była bardziej lewicowa (lewacka) od partii rządzącej. **Dlatego Kościół katolicki patrzył na ewolucję Solidarności z trwogą i z ulgą przyjął wprowadzenie stanu wojennego.** Według Mażewskiego **gen. Wojciech Jaruzelski** w 1981 uratował Polskę przed wstrząsem wewnętrznym o nieobliczalnych konsekwencjach, a świat przed groźbą III wojny światowej. Tak zresztą odbierają to po dziś dzień Amerykanie, mimo że wykorzystali stan wojenny w wojnie ideologicznej przeciwko ZSRR. Jednak Jaruzelski popełnił błąd, nie rozpoczynając w połowie lat 80. demontażu systemu w oparciu o Kościół i sprzymierzone z nim środowiska (Rada Konsultacyjna). Potem był skazany na "okrągły stół", Kuronia i Michnika.

Druga część książki traktuje o polskich powstaniach i zrywach, głównie zaś o powstaniu warszawskim, trzecia zaś o polskiej polityce zagranicznej. W sumie należy polecić tę książkę wszystkim tym, którzy zajmują się polityką, a przede wszystkim wchodzącej do niej młodzieży, by nie uległa fałszywej wizji historii i fałszywemu modelowi patriotyzmu, jaki powszechnie nam się podsuwa. Obóz narodowy zawsze walczył z, jak ją nazywa Mażewski, etyką przekonań przeciwstawiając jej etykę odpowiedzialności. Nie było to nigdy łatwe – obóz narodowy był na tyle potężny, że w jego ramach mieściły się osoby o różnych zapatrywaniach, często ukształtowane w domu czy szkole przez zwolenników patriotyzmu uczuciowego i romantycznego. Sprawiało

planowała ona stan wyjątkowy. Nie jest to jednak tak do końca klarowne. To, że władze PRL szykowały się do wprowadzenia stanu wyjątkowego (wojennego) wiadomym było od samego początku. Powstaje wszakże pytanie – skoro tak, to dlaczego nie wprowadzono go szybko, a czekano aż 16 miesięcy? Częściowej odpowiedzi udzielają publikowane w zbiorze dokumenty. Po pierwsze, władze liczyły na to, że uda im się opanować ruch "Solidarności" i skierować go na tory czysto związkowe. Takie radykalne "odpolitycznienie" "Solidarności" mogłoby owocować jej zachowaniem i wpisaniem w strukturę PRL. Drugi wariant też był do przyjęcia – aczkolwiek niechętnie – chodziło o opanowanie "Solidarności" przez Kościół. **Z raportów MSW wynika jasno, że uzyskanie decydującego wpływu na kierownictwo "Solidarności" przez Kościół także zapobiegłoby wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Wrogiem numer 1, wrogiem śmiertelnym, był KOR, na drugim zaś miejscu KPN.** Dlaczego? Bo KOR dążył do stopniowego demontażu władzy PZPR, a "Solidarność" była w jego rękach tylko narzędziem. Informacje co do istoty korowskiego programu MSW miało bardzo ścisłe.

Warto zacytować fragment jednego z dokumentów (protokół z narady w MSW w dniu 5 stycznia 1981 r.). Gen. bryg. K. Straszewski stwierdził wyraźnie, że **"Solidarność wywodzi się z KSS-KOR i rozprawa z KOR może wywołać odruch Solidarności".** To fundamentalne stwierdzenie, niestety, odpowiadające prawdzie. Od samego początku struktury "Solidarności" było dosyć ściśle opanowane i kontrolowane przez KOR. **MSW przyglądało się z milczącą aprobatą walce Kościoła o odcięcie KOR-u od "Solidarności".** Straszewski mówił dalej, że "w chwili obecnej działalność Kościoła zmierzająca do tego, aby "Solidarność" nie nabierała cech politycznych, jest korzystna". Dodał niemal natychmiast, że w dłuższej perspektywie taki związek (Kościół-Solidarność) "jest niebezpieczny" i należy działać, "aby w przyszłości ich drogi rozeszły się". Jak z tego widać, MSW traktowało to rozwiązanie jako zło konieczne. Pytanie brzmi – gdyby Kościołowi udało się wyeliminować KOR z gry (jeden z raportów wprost mówił o tym, że Kościół uznaje KOR za organizację antypolską), to "Solidarność" by przetrwała? Wydaje się, że tak. Wystarczyło

przecież przetrwać do roku 1985, czyli do pojawienia się Gorbaczowa. Jest prawie pewne, że władze nie poszłyby na otwartą konfrontację z Kościołem, chociaż zapewne dążyłyby do opanowania nowej struktury od wewnątrz.

Rozwój sytuacji okazał się jednak inny – KOR nie tylko nie został wyeliminowany, ale jesienią 1981 roku przystąpił do ataku – próbując wyeliminować **Lecha Wałęsę** i przygotowując się do wzięcia władzy "od dołu". **Był to plan pełzającej rewolucji.** Wedle informacji MSW o sytuacji w kraju z 25.10.1981 roku, **KOR uznał, że "musi wejść w fazę przejmowania władzy, gdyż zatrzymanie rewolucji będzie stanowić jej upadek".** To wtedy **Andrzej Gwiazda** stwierdził wprost: **"Co będziemy się oszukiwali strajkiem czynnym, przecież nam chodzi o przejęcie władzy".** Potwierdza to tylko tezę Lecha Mażewskiego, który ustalił, że KOR przygotowywał się jesienią 1981 roku do powołania rządu tymczasowego i to było bezpośrednią przyczyną wprowadzenia stanu wojennego. Przejęcie władzy miało dokonać się poprzez rozkład całego aparatu państwa, w tym struktur milicji, bezpieczeństwa i wojska. W ówczesnej sytuacji geopolitycznej było to granie losem narodu polskiego i narażaniem go na interwencję sowiecką. Takie wnioski nasuwają się o analizie tego materiału, choć autorzy publikacji formułują je nieco inaczej, w duchu solidarnościowej mitologii.

Peter Raina, Marcin Zbrożek, **"Operacja "Lato - 80".** Preludium stanu wojennego – dokumenty MSW 1980-1981", Wyd. "Bernardinum", Pelplin 2003, ss. 386

Myśl Polska Nr 44-45 (2-9.11.2003)

Świadectwo czasu stanu wojennego

Peter Raina niestrudzenie odsłania karty historii najnowszej Kościoła w Polsce. Tym razem prezentuje dokument wyjątkowy – osobisty dziennik **abpa Bronisława Dąbrowskiego (1917-1997)** dotyczący okresu 1981-1982. Dziennik jest bardzo osobisty, a szereg zapisów ma charakter wręcz

poufny. Mimo to Raina otrzymał zgodę na jego publikację. To dobrze, że świadectwo to ukazało się właśnie teraz, kiedy mamy do czynienia z nowym zaklinaniem historycznej rzeczywistości. Także teraz, kiedy próbuje się zafałszować dzieje Kościoła, postawić go na ławie oskarżonych.

Zapiski abpa Dąbrowskiego, jednego z najbliższych współpracowników **Stefana Wyszyńskiego**, traktują o stanie wojennym. Oceny tego wydarzenia mamy dzisiaj bardzo jednostronne, choć nie znamy ani wszystkich dokumentów z tego okresu, ani wszystkich uwarunkowań międzynarodowych. Mimo to wielu wydało już wyrok, uznając że stan wojenny nie był uzasadniony i służył tylko i wyłącznie "zdławieniu niepodległościowego zrywu" i "zachowaniu władzy przez komunistów". Tego typu oceny są nacechowane emocjami a także ignorancją. Żaden poważny historyk nie jest dzisiaj w stanie sformułować wniosków ostatecznych, może mówić co najwyżej o odczuciach. Peter Raina też waha się czy postawić kropkę nad "i", ale ma pokusę, by ulec obecnej wrzaskliwej wizji historii lansowanej przez ludzi Solidarności. Pisze we wstępie, że **gen. Wojciech Jaruzelski** "raczej" popełnił błąd. Otóż, tego nie wiemy i może lepiej, że nie testowaliśmy tego w roku 1981. Poza tym, nie jest prawdą zdanie: "Przeważająca część narodu myślała inaczej i nigdy tej decyzji Jaruzelskiemu nie wybaczy". Co to znaczy "przeważająca część narodu"? **Wszystkie dotychczasowe wyniki badań sondażowych (te przed i po 1989) wskazują, że zawsze większa część respondentów usprawiedliwiała stan wojenny (ich liczba waha się od 50 do 70 proc.), a tylko ok. 25-30 potępia tę decyzję. Nawet dzisiaj, 50 proc. elektoratu PiS usprawiedliwia stan wojenny. Fałszem jest więc stwierdzenie "wojna z narodem", owszem, wojna z Solidarnością, ale nie z narodem!** Sam abp Bronisław Dąbrowski należał do tych hierarchów, których twierdzili, że stan wojenny był pochopnie wprowadzony (nie wiemy, czy potem zmienił zdanie). Jednak z jego relacji wynika, że ledwie dwóch hierarchów

było co do tego święcie przekonanych (abp Tokarczuk i kard. Gulbinowicz). Za to następca Stefana Wyszyńskiego, **abp Józef Glemp** – uznawał stan wojenny za zło, ale raczej nieuniknione. Prymas bał się tylko jednego – powstania narodowego i robił wszystko, by temu zapobiec. Miał w tym zresztą wsparcie całego Episkopatu. Za to szeregowy kler się burzył – doszło do ostrego starcia z Prymasem podczas spotkania z księżmi archidiecezji warszawskiej – rzucono wtedy Prymasowi w oczy, że ludzie mówią, że jest "agentem Moskwy", "zdrajcą", "towarzyszem Glempem". Dodajmy, że tego typu "opinie" nie były bynajmniej spontaniczne – kreowały je ośrodki związane z KOR-em i paryską "Kulturą". Grały one na doprowadzenie do generalnego starcia z władzą, a być może chodziło nawet o sprowokowanie interwencji sowieckiej. Prymas i jego polityka stały temu na przeszkodzie.

Abp Dąbrowski nie ukrywa w swoim dzienniku, że w wielu kwestiach nie zgadzał się z Prymasem Glempem, raziła go jego apodyktyczność, "chłód" wobec Solidarności i niezręczności. Ale jednocześnie imponowała mu jego konsekwencja i zdolność do przeciwstawienia się tzw. woli większości. W sumie podzielał też ostrożność Prymasa. Zresztą abp Dąbrowski zawsze w chwili próby bronił Prymasa, bo wiedział słuszność jego postępowania (nawet, kiedy serce mówiło mu co innego). Nie akceptował też nachalności ludzi Solidarności, ich zacietrzewienia i braku odpowiedzialności. Oto przykład, w dniu 8 stycznia 1982 roku spotkał się z b. doradcami Solidarności. Jego wrażenia były jednoznaczne: **"Ci ludzie, aczkolwiek umiarkowani, to jednak natrętni, dla nich, poza Solidarnością, nikt i nic nie istnieje – ani wiara, ani duszpasterstwo, ani człowiek. Przestrzegają, aby się Kościół nie dał zinstrumentalizować rządowi, ale sami do tego dążą, chcieliby Kościół wprząc w swój rydwan i Kościołem kierować. Jeszcze nie otrząsnęli się w iluzji. Jak najbardziej jestem gotów wszystko uczynić dla dobra Narodu, każdego brata, ale nie mogę się zgodzić, że interesy (nie dobro) jednej grupy (nie całego ruchu) są interesami i dobrem Narodu i Państwa".** Trudno o bardziej krytyczną i precyzyjną ocenę. Także podczas wielokrotnych odwiedzin w ośrodkach dla internowanych działaczy

Solidarności, abp Dąbrowski nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego odczucia – oto co zanotował pod datą 16 lutego 1982: "**Są biedni – z jednej strony zawiedzeni, a z drugiej mało realistycznie wierzący w swoje zwycięstwo. Rośnie nienawiść. U wielu już nie idzie o odnowę i dobro Narodu, ale o pomstę". Czyż nie prorocze słowa?**

W sumie zapiski z dziennika abpa Bronisława Dąbrowskiego to bezcenne źródło informacji o epoce stanu wojennego, źródło prawdziwe, nie zmitologizowane, mówiące więcej niż przelewane obecnie z pustego w próżne slogany i zaklęcia.

Peter Raina, **"Stan wojenny w zapiskach arcybiskupa Dąbrowskiego"**, Wyd. von borowiecky, Warszawa 2006, ss. 241

Myśl Polska Nr 5 (4.02.2007)